№ 47. Warszawa, dnia 22 (10) Listopada 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Nowy prezydent. — Z rachunków bieżących p. W. — Szkice wiejskie. Imila p. X. X.—Przegląd słowiański p. S. Ramulta.—Badania przyrodnicze: Dr. E. Haeckel. Królestwo pierwotniaków p J. Nusbauma.—Droga idei p. T. T. Jeża.—Piśmiennictwo polskie: J. Rzepecki. Ueber die bis jetzt unbekannt gebliebenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn p. Z—s. — Badania dziejowe p. Sm. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. A. C.— Tydzień polityczny. — Głosy pism.—Kronika bieżąca.—Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary.—Ogłoszenia.

NOWY PREZYDENT.

Chociaż wybory jeszcze nieukończone formalnie, dotychczasowy ich przebieg nie pozostawia już żadnej wątpliwości, że prezydenturę największej rzeczypospolitej — Stanów Zjednoczonych otrzyma Grover Cleveland. Zdawałoby się, że dla narodu tak słabo rządzonego z wierzchu, tak usamowolnionego, tak niezależnego od władzy naczelnej, przechodzenie jej z jednych rąk w drugie powinno być tylko widowiskiem politycznem; zdawałoby się, że czy na szczycie piramidy amerykańskiej stanie Paweł, czy Piotr, którego ważność ogranicza się do bezwładnej reprezentacyi, to jest rzeczą tak obojętną, jak obojętnem zwykle bywa w teatrze, kto grać będzie rolę króla. Rzeczywiście, w krajach z rozwiniętą konstytucyą, zwłaszcza zaś w respublikach, daleko większe nieraz znaczenie posiadają wybory posłów do parlamentu, niż naczelnika państwa. A jednakże w zdecentralizowanej Unii amerykańskiej sprawa ta nabrała szczególnej doniosłości. Ponieważ tam nie może być mowy o sprzecznościach czysto politycznych, o starciach republikanizmu z monarchizmem, a nawet liberalizmu z zachowawczością, więc walka zamknęła się wyłącznie na polu ekonomicznem i społecznem. I rzecz dziwna w odniesieniu do tak cywilizowanego państwa — na sztandarach tej walki nie błyszczą godła wielkie, wstrząsające Europą, lecz interes, najmateryalniejszy interes chciwego samolubstwa. To nie jest pasowanie się potężnych żywiołów — kapitału z pracą, arystokracyi z demokracyą, ucisku ze swobodą, ale po po prostu idzie o to, czy do władzy mają się dostać dłuższe lub krótsze, brudniejsze lub czystsze ręce. W łonie Stanów Zjednoczonych, które umiały dosięgnąć najwyższych szczytów cywilizacyi, zaląg się niszczący je robak— kradzież publicznego mienia, która niezmytemi plamami okryła t. z. partyę republikańską. Rabowano bez litości pod osłoną pobłażliwych lub czynnych prezydentów, którzy za swą godność wypłacali się wyborcom łaskawą protekcyą. Ze zmianą naczelnika państwa zmienia się tam niemal cały skład urzędniczy, a zgłodniała gromada rzuca się chciwie na łupy służby publicznej. Nadużycia te za czasów Granta doszły do najwyższego bezwstydu, Garfield znowu je okiełznał, a toż samo obiecuje uczynić kandydat demokratów — Cleveland. Pomijając drobne odcienia w stronnictwach, niepodobna powiedzieć, ażeby cała Ameryka dzieliła się na czarnych dyabłów i białych aniołów, na złodziejów i uczciwych; ale to pewna, że zwycięzcy dotąd republikanie nagrzeszyli się łupiestwem do syta i zwolennicy nowego prezydenta przedstawiają poważną rękojmię daleko większej prawości. I któż to pozyskał ich zaufanie?

Cleveland przeszedł drogę życia dość zwyczajną i zostawił na niej ślady zasług wyłącznie obywatelskich. Pochodzi on z rodziny rojącej się duchownymi. Urodził się w r. 1837 w Caldwell. Kształcił się naprzód w New-Yersey, ukończył „Academy" w Clinton, później pracował w zawodzie kupieckim i nauczycielskim, wreszcie wyjechał na zachód i osiadł w Buffalo, gdzie po odbyciu potrzebnych studyów poświęcił się adwokaturze, którą z początku pod cudzą firmą a potem pod własną prowadził z wielkiem powodzeniem. Buffalo wybrało go „szeryfem," a w r. 1881 „majorem." Na tem ostatniem stanowisku złożył on pierwsze dowody prawej energii. Mianowicie wystąpił przeciwko rozmaitym uchwałom rady miejskiej, posprawdzał rachunki i wymierzył publiczną chłostę nadużyciom. Gdy w r. 1882 uwięziono w Anglii kilku obywateli irlandzko-amerykańskich, Cleveland przewodniczył zwołanemu w tej sprawie zebraniu i domagał się, ażeby jej nie puszczono płazem. Groźb „majora" z Buffalo mógł się rząd angielski nie lękać, ale prezydent Stanów Zjednoczonych, jeśliby je kiedykolwiek powtórzył...

Tegoż roku bez żadnych ze swej strony starań obrany został gubernatorem New-Yorku (stanu). I na tym urzędzie również odznaczył on się nietylko rzetelnością, ale nadto śmiałością, niebaczną na miejscowe sympatye i przymilające się do niego rachuby. Jego przyjaciel taką nakreślił charakterystykę przyszłego prezydenta. „Cleveland jest wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną i dzielnym towarzyszem. Waży 200 funtów. Włosy ma ciemne, jasne i ostre spojrzenie, stanowczy i szlachetny wyraz twarzy. Obejście szorstkie: jego *tak* jest tak, *nie* — nie; skutkiem tego obraża zwykle tych, którzy po raz pierwszy z nim mówią. Nie każdemu otwiera swoje serce, ale w rubasznej powłoce kryje się natura przyjacielska, wspaniałomyślna i dobroczynna. Kto miał z nim stosunki, wie, że Cleveland istotnie to myśli, co mówi, i to mówi, co myśli. Postacią swoją i charakterem należy on do starej szkoły polityków kontynentalnych, i zdaje się, że zstąpił z dawniejszego pokolenia, ażeby nas nauczyć, jacy to silni, dzielni, prawi i energiczni ludzie byli nasi przodkowie, którzy założyli rzeczpospolitą."

Ponieważ Cleveland jest również „zuchem" i z niejaką miss Halpin ma kilkoro nieślubnych dzieci, jego więc wrogom nie brak materyału do szykan i oszczerstw. Jeżeli zaś to błoto bryzga gęsto z pod kół wszelkiej agitacyi wyborczej, to w Ameryce tryska strugami. Kto ma czułe nerwy a nie chce zbrzydzić sobie parlamentaryzmu, ten niech lepiej nie czyta opisów walki, w której wyciągane są na widok publiczny najskrytsze tajemnice rodzinne

nieprzyjaciół a najbłahsze pozory rozmazywane potwarzą i bezczelnością. Niema na świecie kandydata do reprezentacyi narodu, któryby nie musiał przejść do swego stanowiska przez chłostę plugawych języków. Psy nie gryzą się tak o kość, jak ludzie o mandaty. W Ameryce to zażeranie się, to wycie przybiera potworniejsze niż gdziemdziej rozmiary, zwłaszcza gdy w grę wściekłych instynktów rzucona najwyższa godność państwowa. I Clevelandowi przygrywa sromotna muzyka. Ale złorzeczący chór powiększy tylko wrzawę, śród której „zuch" usiądzie na krześle prezydyalnem, a drogi mu nie przetnie.

Z RACHUNKÓW BIEŻĄCYCH.

Ugoda rządu rosyjskiego z Watykanem w ogólnych rysach tylko wytknąć mogła stosunek kościoła katolickiego do państwa, pozostawiając nietknięte przepisy, określające szczegółowe stosunki duchowieństwa do władz administracyjnych. Normy te wszakże, wystarczające zupełnie przed dwudziestu laty, obecnie w niektórych wypadkach okazały się nieodpowiedniemi, skutkiem czego w sferach rządowych opracowano podobno reformę odnośnych przepisów z 1866 r. Treść tych zmian, według dzienników rosyjskich polega na tem, że biskupi posiadać będą, jak dotychczas, prawo przenoszenia księży z jednej parafii do drugiej a nawet usuwania od sprawowania obrzędów, ale o postanowieniach swych winni zawiadomić niezwłocznie miejscowego gubernatora lub generał-gubernatora. *Petersb. Wiedomosti* twierdzą, iż w Królestwie nawet zakaz sprawowania obrzędów nastąpić może jedynie po uprzedniem porozumieniu się z generał - gubernatorem. Te same warunki muszą być zachowane przy wyznaczaniu kandydatów na wakujące posady.

Duchowieństwo klasztorne otrzymuje pensyę z góry co cztery miesiące dla całego kompletu zakonników, wszelkie zaś oszczędności powinny być użyte na potrzeby ogólne klasztorów, np. reperacye gmachów, kościołów itp. Ażeby dać możność rządom gubernialnym sporządzenia we właściwym czasie list płacy duchowieństwa katolickiego, o każdej zmianie jego składu osobistego biskupi zawiadamiać winni bezzwłoki właściwą władzę.

Proboszcze, którym powierzono administracyę opróżnionej parafii sąsiedniej, mają prawo do dodatkowej pensyi w kwocie 50 rs.; ci zaś, którzy pomimo 65 lat wieku spełniają jeszcze swe obowiązki, otrzymują dodatkową pensyę w ilości 100 rs. rocznie.

Przepisy te, według rosyjskich dzienników, wejdą w wykonanie od 1 stycznia 1885. Nie są one żadną nowością zgoła, ale parafrazą tylko dziś obowiązujących. *St. Peters. Wiedomosti* przypisują nowemu projektowi doniosłe znaczenie, sądząc, że teraz dopiero mianowanie księży odbywać się będzie za zgodą władzy miejscowej i że pieniądze wydawane będą klerowi nie w sumie ogólnej, ale oddzielnie na każdą osobę zamieszczoną w etacie. Tym sposobem wyciągniętą ma być linia graniczna, odsuwająca duchowieństwo do właściwej mu sfery działania i położony kres wszelkim nieporozumieniom.

Okazuje się wszakże, że p. Awsiejenko nie posiada dokładnej znajomości topografii politycznej i że ta pożądana granica dawno istnieje. „Poważną reformę—ironizuje *N. Wremia*—o której obecnie doniosły *St. Pet. Wiedomosti*, wprowadzono u nas w życie jeszcze w r. 1866, t. j. po ugodzie przedostatniej z Rzymem. Od tego czasu w kraju zachodnim biskupi korzystają z prawa usuwania osób im podwładnych od sprawowania obrzędów, zwolnienie atoli od obowiązków, połączone z pozbawieniem pensyi skarbowej, oraz mianowanie nowych księży wszelkich nazw dokonywane są jedynie za zgodą gen.-gubernatora miejscowego." A dalej: „Władza rosyjska zawsze korzystała ze swych prerogatyw na mocy konkordatu i nawet teraz jest np. w Grodnie ksiądz usunięty od sprawowania obrzędów przez biskupa Hryniewieckiego, ale pobierający całkowitą pensyę skarbową i urzędownie poczytywany za zajmującego swą posadę, ponieważ gen.-gubernator wileński nie zgodził się z p. Hryniewieckim co do charakterystyki tego księdza."

Podobnie nową jest również reforma wydawania funduszów. Kapitał nietykalny duchowieństwa katolickiego wynosi 4 miliony rs., leży on w kasie państwa, procenty zaś wydatkowane być mogą jedynie za Najwyższem zezwoleniem. „Państwo łoży na utrzymanie kleru 1½ miliona rs. rocznie, ale każda kopiejka wypłacaną jest przez władzę wprost tej osobie, której należy się podług etatu; tym sposobem wakująca posada nie może wzbogacić ani biskupa, ani nawet metropolity."

„Zmieniać prawomocnych przepisów nikt nie zamierza, powiadają tylko, że utworzoną jest komisya dla nowego zredagowania ustawy, tyczącej się stosunku duchowieństwa katolickiego do władzy; do ustawy tej włączone będą artykuły nowej ugody z Rzymem, niezmieniające, jak wiadomo, istniejących obecnie przepisów w danej kwestyi."

Tak pisze *N. Wremia*.

Bardziej gorliwi niż świadomi rzeczy niektórzy publicyści rosyjscy starają się w kierunku wzmocnienia i utrwalenia powagi władzy iść dalej, niż ona sama zamierza. Z zupełnym brakiem poszanowania i taktu krzyczą oni: „rząd idzie, rząd powraca," gdy tymczasem okazuje się, jak np. w przytoczonym przykładzie, że już dawno władza państwowa przedsięwzięła odpowiednie środki dla utrzymania swego wpływu i znaczenia. Lepsza znajomość istniejącego stanu rzeczy wskazałaby zbyt namiętnym gorliwcom, że ich życzenia są już od lat 20 spełnionym faktem i uchroniła od smutnej (nawet dla p. Awsiejenki) konieczności motywowania swych wniosków za pomocą naciąganych rozumowań.

Z drugiej jednak strony przyznać należy, że kler katolicki i jego organa musiały widocznie zbudzić niezadowolenie po nad prasą prywatną, skoro *Journal de St. Petersbourg*, wyrażający opinię ministeryum spraw zagranicznych, wystąpił w zeszłym tygodniu z następującą przestrogą: „Organom ultramontańskim powinno być wiadomem, że interes Watykanu wymaga, aby nie rozpowszechniała się idea, jakoby papież mógł do takiego stopnia naruszać prawidła międzynarodowe, aby mieszał się w wewnętrzne sprawy państwa, z którem dopiero co odnowił przyjazne stosunki. Istotnie, zwracanie uwagi na skargi na Monarchę niektórych z jego poddanych, a może nawet podających się za takich, można uważać nie za co innego, jak za mieszanie się niewłaściwe. Krok taki stoi w sprzeciwieństwie ze sposobem postępowania i przezornością Leona XIII. Ale jakimkolwiek by był cel gazet klerykalnych, brak zaprzeczenia ze strony Watykanu może tylko zachwiać dobrymi stosunkami, przywróconymi niedawno między Rosyą i papieżem, a głównie zaszkodzić trzeźwo pojmowanym interesom Watykanu i kościoła rzymskiego."

W.

SZKICE WIEJSKIE.

Imila.

Kiedy Imila żegnała „ojców" i wychodziła z chałupy, śpiewał ktoś: „Oj sieroto nieboże, będzie z tobą niedobrze."

Imila nawet nie słyszała, że ktoś śpiewa, a choćby słyszała, to przecież ona nie sierota, nie dla niej więc wróżba.

Opowiadają sobie „w państwie" na sąsiedzkich zebraniach, że p. Z. robi karyerę, X ma sprawę w sądzie o pobicie parobka, R robi długi.

Opowiadają sobie podobnież i chłopi grabowscy: Jaśka pan odprawia, bo nazwał ekonoma „cyrwonym psem," Urszuli przytrafiło się, jak „nie ludziom," Imilę daje ojciec „do dwora."

Służba Imili wypadła zupełnie niespodziewanie, zdziwiła wszystkich.

— Nic o tem słychać nie było — mówili. Szkoda Imili — dodawali.

Nic dziwnego, że żałowali. Jeżeli służba ordynaryuszów-parobków nie zmienia dawnych stosunków między chłopami, to wcale bywa inaczej z dworską.

Dziewuchy folwarczne wychodzą jakoby z gromady. Zajęcia we dworze i przy dworze trwają również w niedziele i święta, stosunki więc ze wsią, jeżeli nie ustają, muszą zrzadzieć. Żałowano więc Imili. Ojciec jej był oddawna „pastuszem" w Grabowie. Nazywał się Opalach, ale mówili tak o nim tylko dziedzice i rządca. Na wsi tytułowano go Opaleńskim, a w rzadkich razach dobrego humoru, lub w chęci pochlebienia staremu, „Opalasieńskim." Stanowisko Opalacha nie było wprawdzie wysokie, a nawet pozostawało w pogardzie; Bartoch obraził się, kiedy mu je pan zaproponował.

— Jeszcze — mówi — i z kosą pójdę i za pługiem zdążę.

Każdy posiadacz krowy ocenia jednak najlepiej, co wart dobry „pastusz."

Pamiętają dobrze we wsi, jak Opalach, w złości na Mursała, obchudził mu krowę; tak umiejętnie zasypyał w toki, że przed Żebrowską zawsze był pusty. Trafiło się to tylko jeden raz, bo zresztą dba on więcej o dobytek chłopski, niż dworski; tak przynajmniej twierdzi dziedzic. Baby, niosąc pełne skopki mleka, myślą pewno tak samo, ale nie słychać, żeby to mówiły. Jest jednak pewna drobna okoliczność, z której można niejako wnioskować o wdzięczności i rozczuleniu bab. Im pełniejsze niosą skopki, tem częściej tytułują starą, rozczochraną Opalaczkę panią Opalasieńską.

Można więc na zasadzie owych pełnych skopków i owej domniemanej wdzięczności przypuścić, że rzeczywiście Opalach ma pewną słabość do chłopskiego dobytku.

Mówią o Opalachach, że nie tutejsi, że przyszli z „jennej parafii;" dotąd jednak nikt nie spytał, z której. Łatwo też Opalachowi mówić, że miał kiedyś „grunt," nikt mu nie zaprzeczy.

Nie zaprzecza też nikt, że Opalachówny najładniejsze dziewczaki „na całą parafię." Cztery zamężne osiadły się także w Grabowie. Pozostały jeszcze dwie przy starych i z nich to właśnie jedna idzie w służbę do dworu.

Dziewczyny i chłopaki ogólnie żałują Imili.

— Ubędzie nam tańcownica — mówią. Szkoda Imili za te przepowiastki — wtórzą drugie.

Wrażenie młodych kończy się żalem. Nie podziela go jedna tylko z dziewuch, Urszula. Nie lubi Imili. Nie lubią się wzajemnie.

Kiedy Urszuli „przytrafiło się, jak nie ludziom," Imila mówiła:

— Niema gorszygo jak ja człowieka na takie dziewki. Chyba ona umierać nie myśli.

PRZEGLĄD SŁOWIAŃSKI.

Uroczystości zagrzebskie.—Józef Jerzy Strossmayer.—*Jugoslavenska akademija znanosti i umiejetnosti*.—*Steklisze* i „niezawiśli.“ — Idea wielkochorwacka. — Galewy w Peszcie.—Zapatrywania ks. Strossmayera na znaczenie oświaty i niezawisłość wiedzy.

Józef Jerzy Strossmayer należy do tego nielicznego zastępu ludzi o wyraźnej barwie religijnej, przed którymi, bez względu na swoje i ich wyznanie, schyla czoło każdy człowiek w ocenieniu wielkiego charakteru i wielkiego patryotyzmu. Osoba gorącego *rodoljuba* chorwackiego znaną jest społeczeństwu naszemu nie od dzisiaj. Nie wiele jeszcze wprawdzie przedziera się wiadomości do polskich pism z południa Słowiańszczyzny — sława ofiarności i zasług biskupa djakowskiego rozbrzmiała jednak ostatnimi czasy tak głosno, że echo jej obiło się i o nasze skały dziennikarskie, dla słowiańskich dźwięków tak oporne. Ubiegły tydzień nastręczył sposobność do obszerniejszego rozejrzenia się po Chorwacyi i jej sprawach — nie skorzystano z niej przecież! Pochłania nas teraz Tonkin, Suakim, a no — i posiadłości króla Mgu-Mgu nad rzeką Kongo...

Wracam nad Sawę. Dnia 8 i 9 b. m. dzwoniono w Zagrzebiu na wielkie święto. Pasterz katolików Bośnii i Śremu (Syrmii) zjechał do stolicy ze swojego ustronnego Djakowa, aby otworzyć uroczyście—kościół pewnie jaki nowy? Nie — gmach Akademii umiejętności i galeryę obrazów, przez niego samego założoną... Biskup Strossmayer, ten sam, który przed laty dziesięciu tak bogato uposażył uniwersytet i zbudował w Djakowie prześliczną katedrę w stylu romańskim — złożył teraz narodowi swemu nowy dar, który oceniają znawcy na pół miliona złr. Ofiarował go zacny dawca Akademii sztuk i nauk jeszcze przed piętnastu laty, jako zawiązek założyć się mającej galeryi obrazów. Ponieważ jednak Akademia nie miała funduszów ani na uzupełnienie galeryi, ani nawet na jej pomieszczenie odpowiednie, sama kątem bywając w „Narodnim domu“ — niewyczerpana kasa księdza biskupa dostarczyła nowych 100,000 guldenów na budowę osobnego gmachu. Z funduszów Akademii dopożyczono do tego 50,000, Narodni dom dał 80,000, muzeum miało 20,000, a 10,288 złr. złożył naród. Tak kosztem ćwierci miliona guldenów stanął w Zagrzebiu okazały pałac, jedna z najpiękniejszych ozdób południowo - słowiańskich Aten. Mieści się w nim teraz *Jugoslavenska akademija znanosti* (nauk) *i umiejetnosti* (sztuk pięknych) ze wszystkimi swymi zbiorami jak najwygodniej, zawdzięcza to zaś prawie wyłącznie ks. Strossmayerowi. Wspaniały ten przybytek wiedzy i piękna zbudowany został w stylu odrodzenia. Arkady są marmurowe — ściany pokryte pięknemi malowidłami. Dół zajmuje Akademia, mezzanin — bogate muzeum archeologiczne, a piętro — galerya obrazów.

Przypuszcza może ktoś, że zbiory swoje odziedziczył ks. Strossmayer — przynajmniej w znacznej części — po przodkach i darowując je narodowi, nie uczynił wielkiej ofiary. Nie. W przemówieniu swojem przy otwarciu galeryi rzekł: „Niemal wszyscy znakomici mężowie naszego narodu wyszli z ludu. dźwignęli się w górę z zapadłej chałupy chłopskiej. Dumny jestem z tego, że i ja wyszedłem z takiego pałacu!.“ A więc nie po ojcach dostał on w spadku te skarby, które darował teraz Chorwacyi. Tylo ich nagromadzić, nie mając własnego majątku, zdołał tylko przy pomocy możliwej oszczędności w wydatkach z dochodów, których mu dostarcza biskupstwo djakowskie. Cała nadwyżka idzie na szkoły ludowe dyecezyi śremskiej i na takie oto wspaniałe dary, jak galerya, uniwersytet. Bodaj się na kamieniu rodzili tacy biskupi!..

Nowootwarta galerya w Zagrzebiu ma zarazem znaczenie naukowe. Jest to prawdziwy obraz historyczny rozwoju sztuki malarskiej od najwcześniejszego renesansu aż po dzisiejsze czasy. Od Giotta poczawszy, znajdują się tu utwory pędzla wszystkich epok, każdej szkoły. Strossmayer nie szczędził trudu i kosztów, aby mieć orygi- nały, za którymi przedsiębrał formalne obławy po Włoszech, Niemczech, Holandyi, Francyi, Flandryi. Gdy ich zaś nie mógł dostać, zamawiał kopie artystyczne. W ten sposób uzupełniona galerya ma nieocenioną wartość dla zajmujących się historyą sztuki. Zbiory te mieszczą się w sześciu wielkich salach, a uporządkowane zostały historycznie (chronologicznie). W ostatniej komnacie znajdują się dzieła mistrzów nowoczesnych, między którymi są i polacy: Matejko (*Zgon ostatniego Jagiellończyka*), Siemiradzki (*Krajobraz z Kampanii rzymskiej*), Kotarbiński (*Ucieczka do Egiptu*). Z czeskich rzeczy jest *Raniony czarnogórzec* zmarłego niedawno Jarosława Czermaka.

Jakie było przyjęcie biskupa djakowskiego w stolicy Chorwacyi — można sobie wyobrazić, opisać jednak niełatwo. Nie myślę się też silić na odtworzenie zapału, z jakim witała ludność białego Zagrzebia ulubieńca całego narodu, wspaniałomyślnego mecenasa sztuk i nauk. Przyjęcie na dworcu, iluminacya miasta, galowe przedstawienie w teatrze. bankiety, bale, korowody z pochodniami, uroczyste posiedzenie Akademii umiejętności, odwiedziny uniwersytetu, odprowadzenie na dworzec i tyle, tylo innych objawów niekłamanego uczucia — wszystko to przypomina raczej przejazd monarszy przez dawno niewidzianą prowincyę, aniżeli podjęcie zwykłego, niekoronowanego śmiertelnika.

Aby zjednać dla niego serca czytelników *Prawdy* do reszty, dodam jeszcze, że biskup Strossmayer jest przewódcą tego odłamu opozycyi w sejmie chorwackim, który nosi nazwę „niezawisłych.“ W gruncie rzeczy partya ta nie różni się od starczewiczowców niczem prawie — różnicę stanowi główanie *ton* występowania, podczas gdy *zasady* jednych nie zbyt odbiegają od programu drugich. Do klubu Strossmayera należą przeważnie profesorowie uniwersytetu, mężowie gładkich obyczajów, wyrażający się po akademicku—*steklisze* zaś, ludzie zresztą ze wszech miar godni, nie zwykli przebierać w terminologii, choć nie można ich posądzić ani o brak wykształcenia, ani też wychowania, boć wielu między nimi posiada przecież patenty doktorskie, albo zamki i włości obszerne. Jest to więc tylko taktyka wojenna, której Strossmayerczycy nie pochwalają. Idą jednak oba odłamy opozycyi mniej więcej ręka w rękę i jest nadzieja, że w najbliższym czasie zleją się w jedno stronnictwo. To też, gdy większość sejmu uchwaliła wykluczyć starczewiczan od obrad, Strossmayerowscy opuścili salę gremialnie, oświadczając, że nie wrócą dopóty, dopóki steklisze nie zostaną napowrót do obrad przypuszczeni. Partya rządowa odrzuciła podane warunki — odtąd też w sejmie zagrzebskim zapadają uchwały z dziwną jednomyślnością...

Biskup Strossmayer jest głosicielem *idei wielko-chorwackiej*. Jądro tej myśli tkwi w politycznem połączeniu dzisiejszej Chorwacyi (Kroacyi, Slawonii i Pogranicza wojskowego) z Dalmacyą, Bośnią, Hercegowiną, Istryą, ziemiami słoweńskiemi (Krainą, Styryą, Karyntyą, Gorycą, Gradyską i Tryestem). Nie można powiedzieć, aby to był ideał niedościgniony, zrobiono już bowiem w wieku bieżącym kilka wielkich kroków naprzód w tym kierunku. Zlanie się mowy chorwa-

---

Imila pierwsza roześmiała się: „Urszula z towarzyszami,“ a za nią już cała wieś powtórzyła. Darować też tego Imili nie może.

Starzy rozbierają przyczyny i skutki pójścia w służbę Opalachówny. Przyczyny wyrozumieli dwie: chęć Imilii i dorastanie drugiej, a raczej szóstej córki, która w domu wystarczy. Do skutków wzięły się gorliwie baby. Wszystkie przewidziały — złe.

W gadaniu przewodniczy Adamka. Ta sama, co śpiewała Imili „na odchodnem.“ „Siedzi przez sień“ z Opaleńskiemi, zna więc dobrze Imilę.

— Służba na nic dobrego dziewuchę nie wyprowadzi. Dziwowałaćem ja się, ze Opaleńscy już cztery córki „przez przypadku“ powydawali, ale z Imilą, to inaczej pójdzie. Służba, to macocha! Kto ją tam we dworze dopilnuje! Juz jabym tam dzieciaka do żadnego dwora nie dała.

Wszystkie baby nie przeczą. Czują trochę żalu do Imili, że najładniejsza we wsi. Jedne mają brzydsze córki, inne—synów, a każdy za Imilą spogląda.

Nie mogą jej też darować, że nosi taką „kusą kieckę na przedzobku.“

— Jak do majtków—irytuje się Adamka.

— Albo i te kamasy! — przyganiają inne — to Imila wprowadziła. Kupowały wszystkie cizemki i było dobrze, a tera nie tylko kamasy.

Imila tymczasem nie troszczy się, co gadają i z dobrą miną gotuje we dworze. Czasem ją co prawda traci — najczęściej, kiedy chłopak spali pieczeń, albo wiórów nie przyniesie. Ale i wtedy na krótko. Daje się „odmiankowi“ parę razy pięścią i następuje natychmiastowa ulga.

Przez pierwszy tydzień Imila tęskniła, płakała nawet. Do swoich latała co wieczór. Potem przywykła. Dawny humor wrócił. Ograniczyła się na towarzystwie służby dworskiej i baje im przepowiastki, jak dawniej, na wsi. Baje jednym tchem. „Jedno raz, jedno raz,“ powtarza się co chwila. Tylko, że teraz ma mniej słuchających, ze wsi nie przychodzą. Podczas wieczorów zimowych zasiada w „kuchence,“ około niej czeladź dworska z podziwem słucha. Bajki bywają rozmaitej treści, po największej części straszne, tak straszne, że najmłodsza ze służących, Marysia, nie drze wcale pierzy, usta otwiera szeroko i słucha; przy najokropniejszych ustępach opowiadanej bajki chowa twarz w garnek. „Odmianek“ słucha także, opiera się na kotlinie i nie spuszcza oczów z Imili.

Ona śmieje się nieraz, że jej tak słuchają. Mówi: ja to wszystko zmyśliłam. Ale wszyscy proszą: niech Imilka łże, a niech opowiada, a Marysia boi się zawsze, choć słyszy, że to zmyślone. Oprzędka skarży się, że po tych bajkach spać jej nie daje.

— Tak się sielma boi, że rety laboga, zara do mojego łózka lezie.

Rozmawiano także o czarownicach, o zmorach, o różnych rzeczach.

Okazuje się, że towarzystwo to ma już daleko więcej zaufania do czarownic, niż do duchów, zmór. Imila nawet przypuszcza, nie z zupełną jednak pewnością, że czarownic niema na świecie. Oprzędka, jako starsza, doświadczeńsza, zapewnia, że „dyć są,“ aleć się od nich ustrzedz można, a z duchem zróbże co? Rzeczywiście wszyscy się godzą na to, że duchowi to już nie „poradzi.“ Nastraszy i basta. Każdy w swojem życiu widział nieraz, to białą postać, to słyszał jęki i wiele innych rzeczy. Najobszerniej rozprawiano o zmorach, a to może dlatego, że w zebraniu każdy miał ze zmorą parę wypadków. Oprzędkę „dusi właśnie co noc,“ kucharkę „ludzką“ także od czasu do czasu. Przypuszczają obie, że to może „stara Banacka,“ ale głośno nie mówią tego. Imila i ze zmory śmieje się. Ba! ona nawet nie wierzy w „nieszczęśli-

ckiej z serbską w jeden język literacki, wcielenie Pogranicza do Chorwacyi, aneksya Bośnii i Hercegowiny przez Austryę, nawiązanie przyjaznych stosunków ze słoweńcami po chybionej próbie zjednoczenia literackiego—oto ważniejsze etapy na drodze do narodowo-politycznego ideału chorwatów. Co przyniosą dalsze dzieje — przewidzieć dziś trudno; z dotychczasowych ruchów na południu Słowiańszczyzny wnioskować jednak wolno, że idea wielko-chorwacka nie jest pozbawioną nadziei powodzenia i — urzeczywistnienia się w przyszłości. Zależy to już głównie od jej apostołów, zwłaszcza że dynastya habsburgska sprzyja jej podobno po za plecami węgrów potajemnie...

Nie więc dziwnego, że panowie w Peszcie nie bardzo cieszyli się uroczystościami zagrzebskiemi. Wszystkie grubsze ryby rządowe pouciekały z Zagrzebia, wyjechał ban madjaroński — toż samo uczynił arcybiskup zagrzebski, kardynał Mihajlović. A gdy organ opozycyi, *Pozor*, wyszedł w trójbarwnej obwódce słowiańskiej, prasa peszteńska odeszła prawie od zmysłów, krzycząc: gwałtu, zdrada! — choć biskup Strossmayer zbyt jest lojalnym, aby go o to posądzić było można. Ideałom bowiem swoim naznaczając kres późniejszy, postępuje on zawsze tak taktownie, że wrogowie nie zdołali go dotychczas podchwycić ani na jedno słowo. Polityka jego na bieżącą chwilę streszcza się w maksymie: „Lepsza słomiana zgoda, niż złota wojna“— to też przystaje on na ugodę z węgrami, byle sprawiedliwszą dla Chorwacyi. Dynastyi Habsburgów jest szczerze wiernym.

Ale co to węgrów obchodzi! Strossmayer ośmiela się występować przeciwko ich drapieżnej gospodarce, lojalność jego wobec korony jest im więc tylko na zawadzie. „Gdzieśmy zaszli! — woła np. *Pesti Napló*. Strossmayer wjeżdża niby udzielny władca do Zagrzebia, w którym ban nie jest pewnym życia, a ministrowie lżeni są na każdym kroku. Ban i arcybiskup uchodzić muszą, a pan Strossmayer zdobywa tymczasem stolicę. Całe miasto, cały kraj mu się kłania, ba! co więcej, sejm dalmacki wysyła umyślnego przedstawiciela na uroczystość, toż samo czyni Lublana. Nawet Starczević, który przed nikim głowy nie skłoni, Strossmayerowi hołd oddaje!..“

W ten sposób lamentuje cała prasa madziarska, urzędowa zarówno, jak i niezawisła. Tymczasem wbrew przewidywaniom i życzeniu węgrów, dwudniowe uroczystości w Zagrzebiu odbyły się wprawdzie wspaniale i hucznie, ale godnie, poważnie i spokojnie. Kulminacyjnym punktem było otwarcie Akademii, na którem przemawiał sam Strossmayer. „Jeżeliby mi ktoś zarzut z tego uczynił — mówił on — że dochód mój poświęcam nie na wsparcie ubogich, ale na oświatę, poradzę mu, aby wpierw doszedł przyczyny, dla której lud nędzę cierpi. Nie jest że nią brak oświaty? Tak jest, musimy ją dać ludowi, bo tylko naród oświecony może sobie otworzyć źródła materyalnego dobrobytu.“ Ależ to na marmurze ryć takie słowa, a już chyba dyamentami sadzić w złocie koniec przemówienia wolnomyślnego biskupa, który ośmiela się powiedzieć, że „jeżeli wiedza ma naprzód postępować, to powinna być swobodną...“

Ażeby nie sprowadzić klątwy na głowę ks. Strossmayera, zamknę już chyba przegląd mój dzisiejszy, który poświęciłem w całości jemu i jego szlachetnym czynom. Tuszę sobie, że czytelnik nie wziął mi tego za złe. Wszak biskupów takich wogóle nie wielu na świecie...

Stefan Ramułt.

BADANIA PRZYRODNICZE.

Dr. Ernest Haeckel **Królestwo pierwotniaków**, popularny przegląd najniższych żyjących istot. Przekład z niemieckiego J. Steinhausa. Warszawa, 1885.

Dziełko to, wielkości ósemki, z 96 złożone stronic i zawierające liczne drzeworyty, z trzech składa się części: z głównej, ogólnej, gdzie popularnie opisane są różne grupy pierwotniaków, z drugiej, traktującej o batybiusie i o monerach, a wreszcie z trzeciej, dodatkowej, zawierającej w krótkości naukowo przedstawiony podział pierwotniaków.

Rzecz cała, jak wszystkie wogóle płody znakomitego zoologa, napisana jest jasno i barwnie, a na każdym kroku uderza umiejętność przedstawienia zawiłych kwestyj w jak najprostszej formie językowej.

Karol Vogt słusznie kiedyś powiedział, że niejednemu uczonemu bez porównania trudniej jest napisać jakikolwiekbądź popularny wykład przyrodniczy z obrębu jego specyalności, niż poważny traktat naukowy.

Trudność ta z dwóch głównie pochodzi przyczyn, a mianowicie: nie każdy przedewszystkiem umie rzeczy zawiłe opisywać przystępnie i zrozumiale dla ogółu, powtóre zaś w wykładach popularnych należy liczyć się bardzo z *jakością* przedstawionego niewtajemniczonemu czytelnikowi materyału naukowego. Kto sam natury nie bada, nie zna odnośnej literatury—przyjmuje wszystko, co w poważnem dziele popularnem znajduje, za dobrą monetę, brak mu bowiem zwykle krytycznego sądu w kwestyach naukowych. Z tego też względu na popularyzatorze wielka ciąży odpowiedzialność; w pracach swoich, przeznaczonych dla szerszego ogółu, powinien on wystrzegać się poglądów, niepotwierdzonych przez większość uczonych, a natomiast podawać czytelnikowi pokarm, złożony z ustalonych pewników naukowych, lub też z teoryj ogólnie przyjętych.

Łatwo zrozumieć, że Haeckel nie bardzo szczęśliwie nazwał swój przegląd popularny najniższych istot żyjących *Królestwem* piewotniaków. Podziału istot żyjących na trzy królestwa: zwierząt, roślin i pierwotniaków—nie uznaje żaden uczony, wyjąwszy tylko Haeckla. To też znaczna część dziełka poświęconą jest na usprawiedliwienie wydobycia tego nowego „królestwa“ organicznych istot z pośród zwierząt i roślin.

Dla idei monistycznego rozwoju organizmów na „królestwie pierwotniaków“ nauka nie zgoła nie zyskuje: bo czy je stworzymy, czy też nie, fakt pozostaje faktem, iż świat roślinny i zwierzęcy przechodzi nieznacznie na najniższych szczeblach rozwoju jeden w drugi. Co zaś do strony czysto praktycznej, t. j. możności łatwiejszego porządkowania systematycznego różnych niższych grup roślin i zwierząt, to i w tym razie na wyłonieniu „królestwa pierwotniaków“, jako czegoś oddzielnego i samoistnego, stanowczo nie korzystamy. Dotąd bowiem mogła tylko zachodzić trudność: czy pewne grupy do zwierząt, czy też do roślin zaliczać, wobec zaś królestwa pierwotniaków występują nowe kwestye, a mianowicie: czy pewne grupy niższe należą do roślin, do zwierząt, czy też do pierwotniaków? Niepodobna bowiem dać takiego określenia królestwu pierwotniaków, aby pod nie podciągnąć było można wszystkie cechy zaliczonych tu przez Haeckla grup. Bo jeśli np. grzyby uważa za pierwotniaki, to dlaczego nie zalicza też do nich i wodorostów, które wszystkie, podobnie jak grupa zwana okrzemkami (zaliczona przez Haeckla do pierwotniaków), posiadają zieleń lub też, jak np. *Desmidiaceae*, składają się z podobnie luźno powiązanych z sobą komórek, jak okrzemki? Co się zaś tyczy zwierząt

---

wą godzinę.“ Na to daje jednak dowody przekonywające.

— Juz co ja się nie naklnę — mówi — tego chłopaka odmianka, toby on się dawno skrzywił, juzbym trafila na taką godzinę.

Rzeczywiście, wszyscy to widzą, że chłopak wcale niepodobny, żeby się miał krzywić. Z uśmiechem spogląda na Imilę. Wtajemniczeni w jej kłopoty kucharskie, wiedzą, że ten uśmiech nie dobrze wróży jutrzejszej pieczeni.

Postępowe przekonania Imili podziela, a raczej wyrobił je w niej ogrodowy. Oburzają się jednak na niego więcej, niż na Opalachównę.

— Nie za nas się poczęło—mówi z pasyą oprzędka — nie za nas się skończy. Opowiedywali ojcowie tak. to i jest tak.

W folwarku mówiły o nim dziewki, że „się komplementuje,“ ale komplementowali się i inni, można powiedzieć wszyscy parobcy „pojedynaki.“

Tylko że każdy dostawał jodną odprawę: „y siedź,“ albo: „wynosić się.“ Ogrodowy, to widoczne, ma większe łaski. Jaki on też delikatny. Jeżeli widzi, że Imila cała czerwona i od komina twarzy nie odwraca, to już ma to sobie za zły znak: siada milczący i czeka na „strawę“ cierpliwie. Znajdzie czasem „w jadle“ francuza, to spokojnie wyrzuci łyżką na środek kuchni i je dalej, jak nigdy nic. „Odmianek“ niech no znajdzie najzwyczajniejszą muchę, zaraz ją rozkłada na dłoni i mówi:

— Patrzta, jak to pieprzoju urosły śtyry nogi i skrzydła.

Imila wdzięczna też za to wszystko ogrodowemu. Wdzięczną jest jeszcze za wiele innych rzeczy. Raz wyszedł naprzeciwko, kiedy wracała z targu.

— W nocy przez lasek, będzie pannie Imili markotno, pójdziemy razem.

Naturalnie, że byłoby markotno.

Powoli, dziwnym trafem, wszystkie narzędzia ogrodnicze zaczęły znikać „z budy;“ obrał im ogrodowy inne schronienie, kuchenkę.

— Tu prędzej doleżą — mówi.

I polewaczki przyniósł, nawet nożyce do „śtucowania.“

Co prawda, musi teraz przychodzić po każdą rzecz do kuchenki, ale jakoś to go nie martwi, nie martwi się nawet, kiedy mu „odmianek“ schowa grabie, albo sznur; szukają zwykle cierpliwie oboje z Imilą i odnaleziony przedmiot znów pozostaje w kuchence. Pani skarży się, że Imila dziwnie straciła pamięć. Osobno idzie po włoszczyznę, osobno po koperek. Kiedyś nawet ostro odpowiedziała, że pani tak ma mądra, niechże „zabierze od razu: kosz marchwi i tyla włoszczyzny.“

Z ogrodowym witają się co rana, ściskając sobie ręce. Ktoś wspomniał o tem na wsi. Zośka Bruździakówna ogromnie się oburzyła

— Choćby się z tydzień nie widzieć, ale to oto codzień i rękę podawać.

I jej też chłopaki nieraz podają, ale ani u gnoju, ani u żadnej innej roboty. Zwykle są to chłopaki z innej wsi, spotykają się z Zośką w kościele, albo na odpuście, a tu w jednym domu mieszkają i za rękę się ściskać codzień!

Adamka także źle się zapatruje na to.

— Juz on ją wystroi — mówi — juz ona się doigra.

Urszula uśmiecha się, nie mówi nic.

Imilę gadanie wiejskie gniewa, ze złością powtarza ona: doigram się, to doigram, co komu do tego.

Ogrodowy tymczasem obiecuje dziewczynie „przed-gody“ dać na zapowiedzi. Ale nie da, nie myśli nawet dać. Imila jednak wierzy i czeka; czasem poplakuje. Przestała chodzić na wieś, nawet w kościele rzadko ją widzą. Pracuje tylko za dwie. I do krów chodzi i „koło drobiu.“ Dziewczyny dziwią się. Po co się ona tak

tu także nieprzezwyciężone napotykamy trudności. Haeckel upatruje różnicę pomiędzy królestwem zwierząt i pierwotniaków w tem głównie, że ostatnie nie dochodzą nigdy w rozwoju swym do stadyum o dwu listkach zarodkowych, zwanem *gastrulą*, co ma miejsce u zwierząt. Ale to nie upoważnia nas wcale do utworzenia z pierwotniaków samoistnego królestwa; „gastrula“ tak samo zupełnie jest ważnem i ogólnem, jak młodsze stadyum, jeden tylko listek zarodkowy przedstawiające (np. *blastula* lub *morula*), lub też starsze, gdzie trzy już występują listki. Dlaczegoż więc jeden z momentów rozwoju ma stanowić probierz do rozbicia królestwa zwierząt aż na dwa oddzielne? Jest to zupełnie niezgodne z naszymi poglądami monistycznymi na rozwój zwierzęcego świata. Zresztą, obecnie pojęcie listka zarodkowego nie jest już takiem, jak za czasów Remaka, który pod słowem tem rozumiał blaszkę z wielu komórek; według obecnych naszych pojęć jedna, pojedyncza komórka, a nawet część jej wyobrażać może pierwowzór listka zarodkowego.

Ale sam Haeckel przyznaje, że granicy pomiędzy wszystkiemi trzema królestwami nie chce i nie może nawet ustanowić. Po cóż tedy bez celu przysparzać trudności klasyfikacyi, a w dziełku popularnem niepotrzebne i nieokreślone wprowadzać pojęcia?

Zastanawiając się nad różnicą roślin i zwierząt, autor powiada, że „rośliny wydychają zazwyczaj kwas węglany, a wydychają tlen, zwierzęta zaś wprost przeciwnie.“ Trudno pojąć, jak podobne błędne określenie mogło się znaleść w tem dziełku. Proces oddychania zupełnie jest identyczny u roślin i u zwierząt, i te i tamte pobierają bezustannie z powietrza tlen, niezbędny dla podtrzymania życia. Roślina wydziela wprawdzie tlen, ale on pochodzi z rozkładu kwasu węglanego, jaki ona zielonemi częściami swemi z atmosfery zabiera i pod wpływem światła rozkłada w komórkach swych na tlen i węgiel, asymilując ostatni. Cały ten proces jednak nie ma nic wspólnego z oddychaniem roślin, przyswajających sobie węgiel z powietrza, podobnie jak zwierzęta z pokarmów, którymi się żywią.

Scharakteryzowawszy główniejsze grupy królestwa pierwotniaków, Haeckel zastanawia się nad sporną kwestyą istnienia moner i batybiusa. Zdaje się atoli, iż sprawy te przedstawiają się tak odmiennie, że nie zasługują na to, aby je w jednym stawiać rzędzie. Gdy bowiem istnienie moner stwierdzonem zostało przez szereg badaczy (Haeckel, Cieńkowski, Grimm), a nikt dotąd nie starał się obalić faktycznej strony obserwacyj poprzedników, o istnieniu batybiusa wątpią nawet ci, co pierwsi go wykryli (Huxley). To samo stosuje się też do owego nieszczęśliwego *Eozooa*, którego Haeckel koniecznie pragnie wskrzesić, a który dla olbrzymiej większości paleontologów przeszedł już tylko do historyi nauki.

Bądź co bądź, dziełko Haeckla należy bez wątpienia do szeregu książek po mistrzowsku napisanych i dla ogółu naszego, ze światem niższych organizmów bardzo mało zapoznanego, niezmiernie pożytecznych.

Przekład dokonany jest wogóle starannie, jakkolwiek tu i owdzie spotykamy niedokładności oraz niemożliwe usterki językowe. Tak np. czytamy: „liść mimozy okryty pięknym pierzem.“ Czułek ma liście pierzasto-złożone, ale nie ma na liściach żadnych pierzy (jak gdyby była mowa o ptaku). W innem miejscu znajdujemy: że jądro Stentora ma formę „wieńca róż“ (?), zamiast kształt różańca (przenośne znaczenie słowa „Rosenkrantz“) itp. Dalej rażą wyrażenia: „rychły“ (rychłyj) zamiast lużny, „przymykają“ (primykajut) zamiast przylegają, „mikroskopy ukazują nam“ i t. p.

Królestwo pierwotniaków wydane jest bardzo porządnie, papier piękny i rysunki staranne. Życzymy książce, aby zyskała jak największe grono czytelników, tłomaczowi zaś należy się uznanie za przyswojenie jej naszej literaturze.

Józef Nusbaum.

DROGA IDEI.

Mam przed sobą dwa dzieła, o których wiadomość nad brzegi Wisły przesłać warto. Szkoda, że o obu naraz pisać nie można. Muszę sprawozdanie na dwa rozłożyć razy i obecnie czytającą polską publiczność powiadomić o pracy profesora przy muzeum historyi naturalnej, pana Edmunda Perrier, pod tytułem: „Filozofia zoologiczna przed Darwinem“ (*La Philosophie zoologique avant Darwin*, (Paryż).

„Rozwój idej — powiada autor we wstępie — dosyć ma podobieństwa do rozwoju istot żyjących. Rodzą się one pokorne zazwyczaj i ukryte śród idej dawniejszych, rosną we większem lub mniejszem zo starszemi zlaniu tak, że rozpoznać je trudno, wyróżniają się powoli, dosięgają pewnego stopnia potęgi, przeistaczają się i giną, dawszy początek ideom nowym, które tenże sam los czeka.“

Słowa powyższe charakteryzują pracę, będącą w gruncie nie czem innem, jeno wykazaniem drogi, jaką przechodziła idea transformizmu, zanim ostatecznie a wyraźnie została określoną. Droga ta, wedle autora, poczyna się z daleka, z bardzo daleka i, rzecz ściśle biorąc, do celu nie doprowadziła jeszcze. „Jeżeli przyjęcie transformizmu wpływa na dokonanie rewolucyi głębokiej w kierunku prac naturalistów, na ich sposób rozumowania, na sposób, w jaki fakty przedstawiają i wiążą je, rewolucya ta daleką jest jeszcze od dokonania.“ Mimo uznania i przyjęcia metody, opartej na postrzeganiu i doświadczaniu, metoda, polegająca na wiązaniu następstw z przyczyną, arystotelesowska zasada *przyczyn ostatecznych*, wciąż jeszcze pozostaje w użyciu. Nie jest to metafizyka w znaczeniu dawniejszem; jest to jednak metafizyka jeszcze. Nie poprzestając na porównywaniu, usiłujemy tłomaczyć. Usiłowanie to straciło ten akcent, jaki je cechował dawniej, a poczęło się od chwili, kiedy w ludziach obudziło się myślenie. Dawniej istoty żyjące zwracały na siebie uwagę człowieka i cudowne instynkty jednych, siła ogromna drugich, wdzięki kształtów i blaski barw trzecich uderzały wyobraźnię jego. Skąd one pochodzą? — jakie są pomiędzy niemi związki? — jakim stosunek ich do niego? — są to pytania, które sobie on po wsze czasy zadawał, a których świadectwa złożone są we wszystkich mitologiach pierwotnych. Całą starożytność, całe wieki średnie przenika ta idea, że zwierzęta pozostają w związku z nadprzyrodzonością, którą filozofowie objaśnić usiłują. Według Thalesa i Anaximandra wszystko pochodzi z wody, według Anaximena i Diogenesa — z powietrza, według Empedoklesa — z ziemi, według Heraklita — z ognia: drogą tą złożyła się hypoteza czterech żywiołów, która odegrała znaczną rolę naukową. Myśl ludzka pracuje i zdobywcze czyni. Anaxagoras tłomaczy, że ciała wszelkie tworzą się z cząstek jedna do drugiej podobnych, które od wieków istniały i które Bóg zestosunkował. W chaosie zmieszane a niewidzialne krążą kości, mięśnie, pęcherze, spotykają się cząstki podobne z podobnemi, łączą i wytwarzają kości, mięśnie i pęcherze istot żyjących, po śmierci których rozkładają się, do chaosu wracają, znów krążą i znów się łączą. Czy w teoryi tej wyna-

---

zapracowywa! Najwięcej dziwi się Marysia.

— Głupią dziewucha! nie wiem, co jej z tego przyjdzie.

Marysia dziwi się tem więcej, że właśnie sama tej zimy nic nie robi.

— Siostrzyczecki kochane, chyba zdechnę, albo co, tak mi się przecie robić nie chce, ze rety laboga.

O Imili coraz częściej mówią we wsi. I chłopi mają jednak pewną delikatność. Najdrażliwsze sprawy baby omawiają same przy sadzeniu kapusty, przy praniu. Przyszła kolej i na sprawy Imili. Nie sadzono kapusty, więc rozgadały się baby przy praniu. Pokazywały sobie Imilę palcem, szeptały. Któraś głośniej odezwała się:

— Co tez stary Opaleński powie córuchnie?

Ale Imila udaje, że nic nie słyszy, nie widzi. Głośno rozprawia przy kominie, śmieje się nawet.

Urszula rozgadała się kiedyś do Zośki.

— Wystrzegałaćem się i ja do 20-go roku, alem się nie ustrzegła; a p. Imila, co tak kiepkowała! A to wej, kochana, sam Pan Jezus za taką chodzi.

— Moze ja mam większą łaskę u Pana Boga, jak wy „poćciwe“—usprawiedliwiała się.

Imila powróciła do domu.

— Skończyła służbę — mówi Adamka— przywitałabym ja ciebie, przywitała!

Stara Opalaczka płakała.

Na wsi baby wszystkie wiedziały, że to tak będzie, tylko nie chciały prorokować. Żałowały jednak Imili wszystkie.

— Taka porządna dziewucha — mówiły stare i młode.

— Żeby mi pani dała sześć morgów gruntu za lasem, tobym się żenił — mówił ogrodowy.

Pani nie dała morgów. Poszedł do młynarzówny, ale stary mu powiedział, niech kończy tam, gdzie zaczął. Ogrodowy zawziął się.

— Nie chcesz, to nie, pójdę do Bruździeńskich.

I poszedł.

Zośka nasmażyła jajecznicy.

Na zabawie nie odstępował od niej, całą noc razem „gulali.“ Spytał o Imilę, co robi, co mówi.

— Mówi, że kiedy kto dziewczynie odbierze sławę, to lepiej, żeby i życie wziął.

Zamilkli oboje.

Imila płakała. Siedzi na progu chałupy i myśli, że już teraz, to do niej nie wróci. Z Zośką się ożeni, mówią wszyscy, że się ożeni.

— Już ostatni raz płacę—perswaduje sobie—niech je tam!

W sobotę ktoś doniósł, że ogrodowy z Zośką zanieśli na zapowiedzi.

Imila otarła oczy i poszła do roboty.

Zośka szczęśliwa, po całych dniach śpiewa. Spotkała ją Imila u roboty. Słyszy, jak prosi pana Jezusa o dolę.

— Jezu, Jezu daj my te dolę.

— Bo ja juz idę pod jego wolę—rozlega się u maszyny.

— Jezu, Jezu daj my te scęście, bo ja juz idę pod jego pięście! — drze się Zośka u wialni.

— Bodajeś się „poderła“ — myśli Imila.

Może jeszcze coś więcej pomyślała, żeby doprawdy Zośka znalazła się pod pięściami ogrodowego, ale mówi sobie po chwili: cóż ona mi winna. Na wesele poprosiła ją Zośka, ale Imila nie pójdzie. Napiekła tylko placków z cukrem i rodzynkami. Zośka mówi:

— Juz ty umies najlepiej.

A jak dziękowała, zostawiła „wyskrobek“ za fatygę.

lazcy *homeomeryj* dostrzedz się nie daje pokrewieństwo niejakie z hypotezami Buffona, Geoffroy Saint-Hilaira, a nawet Darwina? Alkmeon, Demokryt i Hippokrates badają anatomię zwierząt i ludzi; Sokrates trafia na motodę iduktywną, z której Platon robi w duchu idealnym użytek szeroki i wywołuje potrzebę sprawdzenia idei ogólnej za pomocą obserwowania i klasyfikowania zjawisk. Jawi się geniusz. Arystoteles, i zakłada podstawy metody naukowej.

Arystoteles usiłuje określić *gatunek* w czem—według p. E. P.—przeszkadza mu brak w mowie potocznej wyrazu odpowiedniego. Zaznacza jednak ciągłość w dziełach przyrody. „W naturze—powiada, ks. VIII—przejście od istot nieżyjących do zwierząt uskutecznia się powoli i w sposób tak nieznaczny, że niepodobieństwem jest zakreślić granicę pomiędzy temi dwiema klasami.“ Z zastanawiania się nad istotą ziemnowodnych ten wyciągnął wniosek, że zwierzęta ziemne zostać mogły wodnemi i odwrotnie, dzięki jakimś wypadkom, które zaszły podczas rozwoju embryogenicznego. Przypuszczenie to — czyż nie wchodzi do kategoryi „przemiany gatunków?“ Rzuconem jest ono mimochodem, od niechcenia, tak jak teorya walki o byt, jak wiele innych punktów naukowych, których wielki uczony świata starożytnego dotknąć mógł jeno, z powodu braku materyału, a które dziś dopiero uczeni w pracach jego dostrzegają, jako świadectwo niezrównanej bystrości umysłowej tego „księcia filozofów.“ Filozofia zoologiczna może go. do pewnego stopnia, uważać za swego założyciela.

Arystoteles bezpośrednio nie wywołał następstw naukowych, jakich się spodziewać należało: nie prowadzono dalej rozpoczętego przezeń dzieła — zapomniano o nim na czas długi; kiedy zaś go z zapomnienia wydobyto, to na to, ażeby przed nim czołem uderzyć i odkrycia jego zdogmatyzować. Scholastyka średniowieczna przedstawia sobie „Arystotelesa, jako rodzaj Mojżesza pogańskiego, którego słowo tak samo jest nieomylnem, jak słowo Ksiąg świętych.“

Autor przechodzi okresy naukowości rzymskiej, jakoteż naukowości wieków średnich i odrodzenia, zaznaczając postępy, jakie czyni anatomia i fizyologia. Spekulacya atoli filozoficzna zalewa przebłyski domysłów, a przesądy idą przodem. Frey (1595) uważa zwierzęta jako danych nam przez Stwórcę „nauczycieli;“ Wolfgang Franciszek (1612) pisze kilkakrotnie wydawaną *Historyę świętą zwierząt*, opisuje smoka i powiada, że „smokiem głównym jest dyabeł;“ P. Kirchner (1675) czyni poszukiwania nad zwierzętami, które Noe do arki zabrał etc. Świta jednak epoka nowa, pojawiają się prace opisowe, zakreśla się rozwój pojęcia „gatunku.“ wraz z próbami słownictwa, wreszcie Lineusz definiuje „gatunek,“ powiadając o nim: „Liczymy gatunków tyle, ile par z rąk Stwórcy wyszło.“ Za punkt wyjścia naturaliście szwedzkiemu służy gieneza; lecz poszukuje on, jakim istoty żyjące podlegają zmianom; przypuszcza, że pierwotne roślin gatunki w małej były liczbie i rozrodziły się następnie wskutek krzyżowania pomiędzy gatunkami głównymi; lecz powiada, że gatunek każdy jest pośrednim pomiędzy dwoma innymi, wreszcie przyswaja sobie aforyzm Leibnitza: *Natura non facit saltum*. Lineusz wyszedł z punktu dogmatycznego; działami jednak swojemi, podziałem istot wedle królestw, rodzajów, gatunków, porządków i klas, ułożonych na podstawie pokrewieństw, przygotował grunt dla prac późniejszych, pomiędzy któremi, niby drogowskaz, miejsce zajęły „Kontemplacya natury“ Karola Bonneta, twórcy sławnej drabiny: Człowiek (orangutang, małpa), czworonożne (wiewiórka, nietoperz, struś), ptaki (pt. wodne, ziemnowodne, ryby latające), ryby, węże, skorupiaki, owady, rośliny, kamienie, sole, kruszce, siarki, ziemie, woda, powietrze, ogień. Jest to nic co innego, tylko wskazówka, niekoniecznie ściśle naukowa, świadcząca o uwadze, jaką uczeni zwracać poczęli na kwestyę pochodzenia istot żyjących. Za wskazówką ta idą naturaliści: Robinet, de Maillet, dr. Erazm Darwin (dziadek Karola D.), który bada rozwój embryogeniczny i inni, i inni.

Buffon, przeciwnik Lineusza, krytykując klasyfikacyę jego, wykazuje następstwa, do jakich prowadzi podział na rodziny. „Przypuściwszy — słowa Buffona — w roślinach i zwierzętach rodziny, przypuściwszy, że osioł jest z familii konia i że tem tylko od tego ostatniego się różni, iż się wyrodził, można będzie z równąż słusznością powiedzieć, że małpa jest z familii człowieka, że jest człowiekiem wyrodzonym, że człowiek i małpa jednego są pochodzenia, jak koń i osioł; że rodzina każda, tak zwierzęca jak roślinna, jednego są szczepu; a nawet że zwierzęta wszystkie pochodzą od jednego, które, z upływem czasu, doskonaląc się i wyradzając, wydało wszystkie zwierząt innych rasy. Naturaliści, tak lekkomyślnie stanowiący rodziny dla zwierząt i roślin, nie czują, zdaje się, całej rozległości następstw, ściśniających owoc stworzenia do dowolnie małej liczby osobników... Ale nie; *objawienie* za pewne podaje, że zwierzęta wszystkie jednakowy w łasce tworzenia udział wzięły“ etc. Toż samo twierdzi Linneusz. Jak ten ostatni jednak, tak Buffon wprowadza naukę na drogę coraz to pewniejszą. Buffon zresztą odrzucił następnie niezmienność gatunków i wprowadził ich rodowód. „Jak inaczej — zapytuje — aniżeli za pomocą tysiące i tysiące razy próbowanego łączenia się zwierząt gatunków różnych poznać będzie można stopień ich pokrewieństwa? Czy osioł bliższym jest krewniakiem konia, czy zebry? Czy wilk bardziej zbliża się do psa, aniżeli do lisa lub szakala? W jakiej od człowieka odległości postawimy małpy wielkie, tak daleco do niego składem ciała podobne? Czy wszystkie gatunki zwierzęce były niegdyś tem, czem są dziś? Czy liczba ich powiększyła się, czyli się zmniejszyła? Czy gatunki słabo nie uległy zniszczeniu ze strony mocnych, albo raczej ze strony tyranii człowieka, którego liczba stała się tysiąckrotnie większa, aniżeli liczba gatunku zwierząt silnych? Jaki moglibyśmy znaleść stosunek pomiędzy pokrewieństwem gatunków a innem bardziej znanem, jakiem jest pokrewieństwo ras gatunku jednego? Czy rasa w ogólności, jak gatunek mieszany, nie pochodzi z niezgodności w odniesieniu do gatunku czystego, trafiającej się w osobnikach, które utworzyły pierwotny szczep rasy? Ileż jest innych w tej jedynie materyi pytań, a jakże śród pytań tych mało takich, które byśmy rozwiązać byli w stanie!“

Pytania powyższe wyglądają na tematy, zadane dzisiejszym na niwie nauk przyrodniczych pracownikom.

Znanym jest powszechnie i zaznaczonym wybitnie udział, jaki w rozwoju pojęć o działalności natury przyjął Lamarck, który w czasie swoim przeminął niepostrzeżenie, dzięki wrzawie, jaka prace jego zagłuszyła. Wrzawę tę sprawiła polemika głośna dwóch zapaśników potężnych: Geoffroy St. Hilaira i Cuviera. Buffon, Lamarck, Geoffroy St. Hilaire i Dugès we Francyi, Goethe i Kielmayer w Niemczech gromadzą fakty i za pomocą nich, drogą indukcyi, usiłują dojść do pojęcia ogólnego stosunków, łączących pomiędzy sobą istoty żyjące. Równocześnie filozofia niemiecka probuje tegoż samego drogą dedukcyjną. Schelling zakłada szkołę filozofii natury: Oken występuje z formułą: $+ A - A = O$

Adamka zaręcza, że niepotrzebnie wstawia, bo ona na własne oczy widziała, jak Imila wsunęła jeden placek pod pierzynę. ale Zośka nie słucha i daje „wyskrobek.“

Tymczasem i do Opaleńskich przysyłają swaty. Na wsi nie wiedzą tylko, czy do Imili, czy do najmłodszej dziewuchy. W folwarku zaręczają, że do Imili. Niedługo znane są już i szczegóły. W folwarku zgadli; rzeczywiście Imila ma dwóch kawalerów. Jeden dziad z miasta, drugi kulawy „siewc.“ Dworskie dziewczyny opowiadają sobie, że dziad ..je przez nosa,“ ale Marysia oburza się.

— Jakże przez nosa, toby płatkiem przykrywał, jak stolarz z Łąkoskiej parafii, a on przecie płatkiem nie przewiązuje.

Jest to naturalnie najlepszy dowód istnienia nosa, nikt już nie przeczy. Zgadzają się wszyscy, że jest nos, ale niezwykły.

— Taka oto chrząstka—twierdzi rezolutnie Marysia.

Ciekawi wszyscy, co teraz Imila postanowi.

I postanowiła bez namysłu, że już woli kulawego siewca, jak dziada „z chrząstką.“

— Taki ci siostro omierzliwy—skarży się do dziewczyn dworskich — już wolę „kulona.“

I poszła za kulona.

Na ślubie płacz był, jakby na pogrzebie. Wszyscy Emili żałowali, nawet obcy. Matka ręce załamywała.

— Czegożem ja tez doczekala! Za takiego kalekę! Toćbym cię wolała na marach widzieć.

Nawet kulon płakał, choć może nie wiedział sam—czego.

Imila była wesoła.

— Drugi by mi wymawiał, a taki kulas, to jesce kontent, zem go wzięna.

Ale na kulasie niebardzo było widać zadowolenie. Na weselu dopiero rozruszał się. Postawił dwie beczki piwa, sprosił całą wieś. Adamki nie było.

— Tej jednej nie chcę—mówiła Imila—tygo krokodyla ścierpieć nie mogę.

Co prawda, to Imila i dawniej mawiała, że wogóle starych bab „ścirpić“ nie może, ale dziś wyjątkowo Adamki. Wesela było trzy dni. Kulas powtarzał: „rzemieślnik jezdem“ — kazał grać, częstował sam. Śpiewali i tańcowali.

Dziś Imila jest zupełnie zadowolona. Jeździ sama do miasta po towar, czasem oboje. Nowiele robi, gawędzi z interesantami i gotuje przysmaki. Kulas oblizuje się i zajada. Czasem Imili przychwala.

— A co! żebyś była poszła za „parobzijasa“ musiałabyś już wyleść z pod pierzyny, „zadzień iść.“

Imila nie wyłazi z pod pierzyny i mówi: prawda.

W skrzynce złożonych mają 10 rs. na towar, a co wpłynie, to się zjada. Baby znów niekontente z Imili. Mówią, że „spyśniała,“ że do nikogo nie zajdzie, że się rozleniła. Rzeczywiście. Często można ją widzieć: chodzi po gościńcu z „towarzyszem,“ albo w lesie zbiera grzyby.

— Jak Bóg łaskaw, to i cały tydzień tak przespacernje—zaręczają baby. Kiedy idzie przez wieś, trącają się.

— Jaka to kiecka skrochmalona! jak róg stoi!

— Ja do kościoła taką biorę — mówi skromnie Adamka. Święto zycie tej Imili.

Ona też nie narzeka, gdzieź tam; odchwalić się nie może swojego „kulona.“

Możeby tylko mały „towarzysz“ miał co do powiedzenia, ale się kulasa boi, nigdy się nie skarży.

X. X.

i ideę aprioristyczną wspiera rezultatami doświadczeń; wreszcie...

Wreszcie — rozpisywać się obszerniej nie mogę. P. Edm. Perrier wprowadza czytelnika w sferę działania uczonych współczesnych, których nazwiska znane są mniej więcej. Autor szykuje ich odnośnie do zadania książki, w sposób o ile naukowy, o tyle zajmujący. Chodziło mu, kreśląc historyę systemów dawniejszych, o wskazanie „drogi prawdziwej.“ Jeżeli drogi tej nie wskazał, to pracującym i pracować się zabierającym — uczonym i uczącym się — zadanie ogromnie ułatwił.

T. T. Jeż.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. Rzepecki. **Ueber die bis jetzt unbekannt gebliebenenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn** (rozprawa na stopień doktora w uniwersytecie wrocławskim). Poznań, 1884. str. 71 w 8-ce.

Sprawa literacka Morsztyna jest dość zawikłana. W literaturze figurują trzej Morsztynowie: 1) Hieronim, lichy poeta, urodzony jeszcze na schyłku XVI w. autor *Światowej rozkoszy* i *Historyi uciesznej o zacnej królewnie Banialuce*; 2) Andrzej, wielki podskarbi koronny i słynny liryk XVII w., autor *Lutni* i *Psychy*, wreszcie 3) Stanisław Morsztyn, żołnierz, wojewoda i wierszopis, który przetłomaczył dwie tragedye: *Hipolit* i *Andromacha* (razem z *Psychą* wydane) i opłakiwał śmierć swoich dzieci w *Smutnych żalach*. Wszyscy trzej poeci XVII w. połączeni z sobą węzłami pokrewieństwa byli od dawna znani. Do nich przybywają dziś dwaj nowi Morsztynowie z tej samej rodziny: 4) Kanonik Hieronim, albo, jak się sam podpisywał, X. Jarosz Morsztyn, którego zbiór poezyj odszukał prof. Nehring w bibliotece cesarskiej w Petersburgu. Z wyjątkiem nagłówków jego wierszy nie wiemy jeszcze nic bliższego o nim; ale że to był poeta nieposlednicj fantazyi dowodzi następująca spowiedź księdza kanonika:

„Czasby jusz powstać y wyprząc ze złego
Nałogu grzechów...
Boć jusz nieszczęsne wszeteczeństwo moje
Łódkę Dusze mey w kale utopiły
I w mulnym błocie leży Korab zgniły...
Jam pyszne w sercu rozbiłał Namioty
I swóy konterfet śmiertelney roboty
Stroiłem w pompę Czartowskiego Ducha.
Za nic Pokora była ani skrucha.
Jam za Judaszem, który Mistrza swego
Przedał z łakomstwa nosił worek jego,
Jam Kalmowskiej poświadczał zazdrości...
Jam jak Bestia w błocie grzechu leżał.“

Zpiątym Morsztynem, Zbigniewem, rzecz się tak ma. Pierwszą wiadomość o nim podał jeszcze Dmochowski w *Panoramie literatury* z 1836 r. W osiem lat później wychodzi w Poznaniu zbiór poezyj pod imieniem Zbigniewa Morsztyna, poprzedzony życiorysem poety podobno wymyślonym przez wydawcę. Na mocy tego wydania wchodzi Zbigniew Morsztyn jako jeden z najznakomitszych poetów XVII wieku do wszystkich literatur i encyklopedyj. W tem ogłasza prof. Małecki w znanem piśmie zbiorowem Ohryzki z 1859 r. rozprawę, dowodząc, że autorem wydanych w Poznaniu *Poezyj* Morsztyna jest Andrzej podskarbi koronny, nie zaś Zbigniew, który *jako poeta nigdy nie istniał.* Prof. Małecki zażywał takiej powagi w świecie literackim, jak Arystoteles w średnich wiekach. Stanowczem jego orzeczeniem, że niema poety Zbigniewa Morsztyna, olśniona rzesza literacka twierdzi więc za nim, że „Zbigniew Morsztyn *nigdy nic* w swem życiu nie napisał i *wszystko*, co mu przypisano jest utworem Andrzeja“ (Wojcicki w *Encyklopedyi* Orgelbranda, dr. Seredyński *et tutti quanti*). Tymczasem dostaje się do ręki młodego Rzepeckiego, syna owego „konserwatywnego warchoła,“ rękopis poezyj Zbigniewa Morsztyna, noszący tytuł *Muza domowa*. Pan Rzepecki dowodzi więc w swej rozprawie, że uśmiercony przez Małeckiego autor „istniał,“ bo napisał wcale pokaźną ilość wierszy. Praca to sumienna i gruntowna, chociaż zbyt drobiazgowa. Autor jej, uczeń szkoły niemieckiej, popada czasem w przesadną ścisłość, dowodząc nawet rzeczy jak słońce jasnych. Dla nas wystarczą następujące dowody autorstwa Zbigniewa, którego przywrócenie literaturze polskiej jest trwałą zasługą młodego badacza: 1) Z nagrobków poświęconych Morsztynowi (stryjowi, dziadowi itd.), tudzież z wiersza winszującego nominacyi bratu Stanisławowi Morsztynowi wynika, że zbiór ten, *jednolity zresztą*, jest pióra Zbigniewa, którego cała rodzina dobrze nam znana; 2) Powyższe przypuszczenie potwierdza kilkakrotne użycie początkowych liter autora *Z. M.* na tytule wierszy, tudzież, 3) *Tren* na śmierć wychowanki Zbigniewa, wydanej przezeń za Błędowskiego, gdzie wyraża smutek swej małżonki, nazwanej wyraźnie „Zophiey z Szparowa *Morstynowey, Miecznikowej Mozerskiej*.“ Autorstwo Zbigniewa potwierdza spółczesne świadectwo Sandiusza w dziele p. t. *Bibliotheca Antitrinitariorum* oraz wewnętrzne pokrewieństwo poezyi tak pod względem treści, jakoteż formy.

Ale dość już dowodów w rzeczy udowodnionej, przypatrzmy się raczej: co zacz ten pan Zbigniew, miecznik mozyrski? Z dziada i pradziada gorliwy aryanin rozpoczął swój zawód publiczny jako urzędnik żup wielickich, administrowanych dziedzicznie prawie przez Morsztynów. W pamiętnym roku 1648 opuszcza Krakowskie i wstępuje jako żołnierz do wojska ks. Radziwiłłów, popierających gorliwie akatolików. Ks. Janusz był zwolennikiem kalwinizmu, ale wspierał i aryanów potajemnie. Książe Bogusław zaś był gorącym poplecznikiem aryanizmu w Polsce. Nie dziw tedy, że niezbyt majętny Zbigniew tym magnatom usługi swe ofiaruje i wielbi ich w swoich pismach. Przez kilka lat bierze udział w ówczesnych walkach Rzeczypospolitej z kozakami i szwedami, w jednej (z dnia 20 czerwca 1656 r.) zostaje rannym i do niewoli wziętym. Z tych czasów mamy kilka wierszy jego bojowych, tudzież dłuższy poemat p. t. *Kosterowie obozowi*, satyra z życia obozowego pochwycona, obejmująca dyalog pisany w języku ruskim, co jest niezwykłym w owych czasach objawem. Odzyskawszy wolność przez kapitulacyę Krakowa 1657 r., rzuca wojaczkę, żeni się z Czaplicówną, aryanką, i rozpoczyna szczęśliwe życie przy ognisku domowem. Niedługo to jednak trwało. Sejm bowiem uchwala wypędzenie wszystkich aryanów z Polski, naznaczając im ostatni termin na dzień 10 lipca 1660 r. Był to ostatni cios, zadany aryanizmowi w Polsce. Biedniejsi przechodzą z konieczności na katolicyzm, majętniejsza szlachta sprzedaje ze stratą swoje dobra i emigruje. Edykt królewski wykonano na aryanach z rzadką u nas bezwzględnością, przyczem działy się krzyczące bezprawia — taką była nienawiść katolików ku aryanom, których nie bez słuszności pomawiano o zdradę kraju i o konszachty ze szwedami. Smutny los aryanów dzielił i Zbigniew z całą rodziną Morsztynów; opuścił Polskę i udał się do Prus pod opiekę ks. Bogusława Radziwiłła, który za otrzymane usługi oddaje mu wieś Rudówkę. Opuszczenie ziemi rodzinnej, utrata majątku, zerwanie związków rodzinnych i przyjacielskich podziałało głęboko na wrażliwy umysł Zbigniewa; odbija to się żywo w jego poezyach z tego czasu. Niesłuszność, której doznał poeta, wierny syn ojczyzny, wkłada mu pióro do ręki i pobudza do napisania hymnu psalmowego *Pieśń w ucisku* (druk. 1671). W celach propagandy pisze i tłomaczy Zbigniew poezye i pieśni religijne, które mu jednają sławę gorliwego aryanina, a wioska jego Rudówka jest ostatnim przytułkiem zewsząd prześladowanego aryanizmu. Nie zapomina on jednak o swej ojczyźnie, owszem utrzymuje ciągłe stosunki z Rzecząpospolitą, zwłaszcza z Warszawą. Widać to z opisania wojny chocimskiej, która kończy twórczy okres działalności poetyckiej Morsztyna (między 1650 i 1678).

Jako człowiek posiadał Zbigniew dostateczne wykształcenie i szlachetny, w nieszczęściu wypróbowany charakter; ale natura obdarzyła go skąpo darami poety. Dowodem jego miernego talentu jest między innemi pieśń o sześciu dziewicach, rymująca siedmdziesiąt kilka razy na „aku,“ tudzież późniejsza przeróbka *Epithalamium* Mierzeńskiemu (nr. 27) na „Treny żałosne“ na śmierć barona Hoverbecka (nr. 58), a to w ten sposób, że przekreślono np. „wesele“ a dopisano „smutek,“ reszty nie zmieniając. Przytaczam kawałek takiego charakterystycznego fabrykatu.

(Teraz *wdzięczne* lutnie moiey struny
Uśmierzcie dawny żal nieutulony).
Teraz *żałośne* lutnie moiey struny
Odnowcie dawny żal nieutulony.

(*Rozpływa* mi się serce od *radości*)
Rozsiada mi się serce od *żałości*, itp.

Różnorodny zbiór wierszy Zbigniewa, zawierający poezye świeckie i kościelne, familijne i historyczne, miał zaspokoić, jak wskazuje tytuł (*Muza domowa*), potrzeby cichego pożycia domowego; w chwilach poważnych miał służyć ku skupieniu ducha, w czasach swobodnych ku zabawie i nauce. Ale celu tego nie dopiął a dzisiaj przedstawia tylko historyczną wartość.

Pozwólcie jeszcze kilka słów dla pracowitego autora tej rozprawki, który pokazał, że umie logicznie myśleć, jakkolwiek zaprzecza temu podpis na tytule: „*Jan von Rzepecki*“ i kilka następujących uchybień:

Ze słów przedmowy autora wspominającego „IMci Pana Podskarbiego Wielkiego Koronnego“ wnosi dr. Rzepecki fałszywie, że „obaj (t. j. Zbigniew i Andrzej Morsztynowie) byli z sobą spokrewnieni“ zasadzając rzecz na tem, że „autor nie nazywa Andrzeja Morsztyna po nazwisku;“ przecież to powszechnie znane, że w Polsce aż do XIX w. używano tytułów, nie zaś nazwisk osób w mowie i w piśmie. Wzmianka o podskarbim nie dowodzi też wcale, że „przedmowa musiała napisaną *zostać* (tak czytamy w polskim tekście rozprawki) przed r. 1683, kiedy Andrzej jako podskarbi urzędował.“ Autor bowiem mógł i po r. 1683 tytułować Andrzeja podskarbim, chociaż został z urzędu złożonym, jak to się nieraz zdarzało.

Na str. 23, powiada dr. Rzepecki, że Zbigniew „nie mógł dać schronienia aryanom uciskanym,“ tymczasem czytamy na str. 66, że jego „Rudówka była główną podporą wygnanych aryanów.“ „Tu koncentrowała się cała czynność polskich aryanów, tu mieli swoje szkoły i kościoły tu zbierali się na synody.“ W wydaniu poezyj Zbigniewa Morsztyna (w Poznaniu 1844), w którem umieszczono przeważnie poezye Andrzeja a kilka wierszy Zbigniewa, znajdują się dwa nagrobki dla generała Żebrowskiego, jeden z nich podpisany „piórem Stanisława Morsztyna,“ drugi „piękniejszy“ dla tegoż generała—bezimienny. Otóż dr. Rzepecki wnosi bez podstawy, że „autorem“ tego drugiego nagrobku musi być ktoś inny a nie Stanisław Morsztyn,“ ale przecież można przypuścić, że Stanisław napisał dwa różne nagrobki, jeden lepszy a drugi gorszy, oba dla Żebrowskiego. Tylko ta okoliczność, że ten drugi

bezimienny znajduje się w zbiorze nagrobków *Muzy domowej*, objętych wspólnym tytułem i tworzących jedną nierozdzielną całość, może zaważyć na szali krytycznej.

Dr. Rzepecki porównywa obie wersye tego nagrobku (w wydaniu poznańskiem i w rękopiśmie *Muza domowa*) i twierdzi ze słów tekstu poznańskiego: „Żałuje nie mniey —ego Generała Oyczyzna cała," opiewających w rękopisie „Płacze mężnego nie mniey Generała Oyczyzna cała," że tekst poznański jest „lichą kopią," tymczasem z tego porównania można tylko wnosić, że lichy wydawca poznański nie umiał odczytać rękopisu, albo, że miał tekst uszkodzony. Na potwierdzenie, że Zbigniew walczył pod Sokalem i Zbarażem, nie wystarczają niestety wiersze:

„Nieraześmy się tego napatrzyli
W co się żołnierze dobrzy obrócili,
Gdy z pod Zbaraża, Kamieńca, Sokala
Szli do szpitala."

bo poeta mógł „napatrzyć" się tych skutków, nie biorąc czynnego udziału w bitwach. Natomiast słuszne dostały się w „tezach" nowe cięgi p. Antoniemu Mazanowskiemu, który niedawno ogłosił powszechnie znaną satyrę już kilkakrotnie drukowaną w zbiorowych wydaniach klasyków p. t. *Odjazd literata z Warszawy*, jako zupełnie nowy i nieznany utwór, dowodząc arcyuczenie, że autorem jej jest Ign. Krasicki. Dr. Rzepecki wykazał, że satyra ta naśladowana z Boileau (Adieux d' un poëte à la ville de Paris) jest pióra K. Węgierskiego.

Z—s.

BADANIA DZIEJOWE.

Rembowski Aleksander: 1) **Sejm czteroletni Kalinki.** Studyum krytyczne. Kraków, Gebethner i S-ka, 1884, 8-ka, str. 119. 2) **Jan Ostroróg i jego memoryał o naprawie rzeczypospolitej** w historyi prawa i nauki politycznej. Warszawa, 8-a, str. 124.

Pierwsza z zatytułowanych wyżej prac p. Rembowskiego podaje w streszczeniu głośne dzieło Kalinki i niektóre nad nim uwagi. Zarzuca autor książce Kalinki brak dokładnej charakterystyki stronnictw, nieuwzględnienia zasad prawno-państwowych, przewodniczących działalności mocarstw ościennych, pominięcie dawnego ustroju rzeczypospolitej w paraleli z organizacyą państw innych itp. Słuszny jest zarzut krytyka, że Kalinka w sądach swoich o sejmie czteroletnim staje bardziej na stanowisku politycznem, niż historycznem; że ludzi XVIII wieku i sprawy ich ocenia przez szkła zapatrywań dzisiejszych — pominął jednak bardzo charakterystyczne w dziele ojca zmartwychwstańca batożenie stronnictwa patryotycznego za wiązanie się jego z Prusami. Ks. Kalinka powinien był pamiętać, że chłostane przez niego stronnictwo nie siedziało, jak on, w archiwach pruskich, że więc istotnych intencyj króla Fryderyka Wilhelma przeniknąć nie mogło; reflektować sądy swoje o tem stronnictwie powinien był tem więcej, że nie zbadał archiwum tego państwa, z którym tak wymownie cieniom zmarłych oddawna ludzi zaleca sojusz. Dziejopisowi obcą być powinna zarówno *fobia* jak *filstwo*; jeżeli zaś faktami usprawiedliwia pierwszą, to obowiązany jest faktami również udowodnić i drugie. Brak owego uzasadnienia nadaje dziełu Kalinki cechy pamfletu politycznego tej szkoły krakowskiej, której doktrynerskich majaczeń nie zdołały dotychczas rozwiać najwymowniejsze fakty, jakich tak obficie dostarcza życie.

Ważniejszą jest druga praca p. Rembowskiego o Ostrorogu, napisana z okazyi rozpraw, jakie się o tym przedmiocie ukazały w czasach ostatnich. Obznajmiony dokładnie z historyą prawa państwowego ogólną, znajduje p. Rembowski gienezę memoryału Ostroroga w teoryach politycznych Zachodu, wpływu zaś husytyzmowi odmawia. Zdaniem naszem, dla wypowiedzenia ostatniego słowa w sprawie memoryału Ostroroga, oprócz niezaprzeczonej biegłości p. Rembowskiego w prawie państwowem, potrzebna jest jeszcze dokładna znajomość historyi stosunków miejscowych. Że Ostroróg nie potrącił w swej pracy o sprawy religii—nie dowodzi to jeszcze, żeby ruch husycki, ogarniający i interesa państwowo-społeczne, na niego nie działał. Należałoby zbadać gruntownie gienezę husytyzmu u nas za Władysława Jagiełły, rozważyć działający w nim zarówno pierwiastek religijny, jak i państwowo-społeczny, oznaczyć proces zanikania dogmatyzmu wyznaniowego i potęgowanie się zagadnień świeckich w czasach późniejszych — a znalazłaby się i nić, wiążąca Ostroroga z ruchem husyckim.

Piotr Jaxa-Bykowski **Dwór królewski w Grodnie.** Epizod biograficzny (1795 do 1797). Warszawa, Gebethner i Wolff, 8-ka, str. 152.

Pomimo zapewnień autora, że „od bardzo dawna" gromadził „relacye i materyały tak piśmienne, jak i drukiem ogłoszone, dotyczące pobytu Stanisława Augusta i jego dworu w Grodnie;" pomimo pretensyi jego do uznania „za zmudną pracę zbierania i zestawiania w jedną całość faktów i materyałów"—nie zdołaliśmy w pracy jego dopatrzeć owych ciężkich mozołów, nie możemy przeto zadośćuczynić i niesłusznej pretensyi. Oparł p. Bykowski swoją o pobycie Stanisława Augusta w Grodnie opowieść na znanych dobrze czytającemu ogółowi materyałach Kalinki (*Ostatnie lata pan. St. Augusta*) i na mniej dostępnej, bo w obcym pisanej języku książce Michaiła De Pouló (*Stanisław-Awgust Poniatowskij w Grodnie i Litwa w 1794—1797 g.*); owych zaś relacyj i materyałów rękopiśmiennych, chociaż je „od bardzo dawna" gromadził, dziwnie mało zużył w tej pracy. Przytacza wprawdzie nieznany list współczesny, dotyczący wyjazdu króla z Warszawy (str. 13)—wnosimy jednak ze stylu, z braku podpisu i daty, że go szanowny powieściopisarz ku uciesze czytelników ułożył z własnej fantazyi; podaje wyjątki zjakiegoś pamiętnika o pobycie St. Augusta w Grodnie—lecz w autentyczność jego również uwierzyć trudno. Sam autor o istnieniu pamiętnika owego wątpi, lub z jednego dwa zrobi, jeżeli porówna stronę 92 ze 101 i zważy, że Małuski nie mógł się nazywać Małeckim, a Małecki Małuskim. Lekceważy p. Bykowski zasadę dokładnego cytowania użytych źródeł, nie przestrzega i czystości języka („jakby nie było" str. 24; „jakby nie pokierowały" str. 51); chociaż podobno, jako typowy konserwatysta, całą w sobie pochłonął ojczyznę. Porządny szlachcic powinien umieć odróżnić Mniszcha od Mniszka (54), nie wolno mu zamieniać Gorzeńskiego na Godzeńskiego (45, 46), koniuszego na marszałka (46, 15). Pisarz porządny dbać powinien o korektę swojego dzieła: nie zamieniać listopada na luty (107, 108), przymiotnika „ogromny" na „gromki" itp. Pomimo tego wszystkiego, czytelnik, mało obeznany z dziejami, pracę p. Bykowskiego, podającą przeważnie fakta autentyczne, odczytać może z pewnym pożytkiem.

Borucki Maksymilian **Ziemia kujawska** pod względem historycznym, gieograficznym, archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym, Włocławek, Neumann, 1883 i 84. Zeszyt 7—8.

Zapowiedzieliśmy we wzmiance o pierwszym zeszycie pracy p. Boruckiego (*Prawda* z r. 1882, nr. 24), że jeżeli dalszy jej ciąg poda materyał pożyteczny i ważny, będziemy go tak chwalili, jak zganiliśmy nieudolny początek. Mamy przed sobą następnych siedm zeszytów i znajdujemy w nich ten sam, co i w pierwszym, brak ładu i składu, ten sam brak najelementarniejszej krytyki. W takich np. kwestyach, jak założenie biskupstwa kujawskiego, opiera się autor na Damalewiczu, Długoszu i ks. Ostrowskim, a pomija krytyczne prace Komarnickiego, Małeckiego, Lewickiego i innych. Robota p. Boruckiego nosi na sobie wszelkie cechy wydawnictwa, obliczonego na spekulacyę. Przy spisie wiosek skrupulatnie notuje byłych lub dzisiejszych dziedziców; nie zapomniał wyliczyć wikaryuszów nawet przy katedrze włocławskiej. Cóż to kogo może obchodzić, że p. XX. mieszka na folwarku przez siebie crygowanym..., a syn jego zamieszkał nad Gopłem (str. 135); że wikaryuszem jest p. Dyndalski. Wiadomości takie pożądane są w biurach adresowych, nie w książce naukowej. Chodziło widocznie autorowi o pozyskanie w unieśmiertelnionych przez siebie wsiach nabywców elukubracyi.

Sm.

LIBERUM VETO.

Koncert studencki. — Jednostajność programu i urozmaicone przerwy. — Dwa powody entuzyazmu dla Mierzwińskiego. — Narodowe c na wędrówce. — Jałmużna dla Warszawy. — Konkurs dramatyczny z „zaszczytem." — Trybunał wątpliwej bezstronności. — *Wisła.* — Jej ubóstwo i bogactwo. — Humor zaprawny koniakiem.

— Mimo wszystkiego, co mnie zawsze odstraszało od sal teatralnych i koncertowych— a o czem niżej — powinienem iść na koncert. Wprawdzie studenci rozprzedali bilety i poparcia nie potrzebują, ale warto usłyszeć śpiewaka, który musi być znakomitym, skoro przez niego tylu ludzi śród publiczności i w prasie — zgłupiało.

Więc poszedłem.

Ciżba straszna. Dobrowolni męczennicy sztuki zieją jak ryby w spuszczonym stawie, chwytając ustami powietrze, którego im ciągle brak. Tłoczę się jak klin a dyżurny student musi mnie wbijać w środek masy. Wreszcie utkwiłem. Czytam program:

Nr. 1. Uwertura z *Burgrafów* Dobrzyńskiego. Orkiestra teatralna gra ją rzeczywiście.

Nr. 2. *Straszny sen* deklamacya p. Czaki. Tymczasem rozlega się: kla-kla-kla-kla... które trwa dość długo, poczem p. Czaki istotnie deklamuje *Straszny sen*, o ile jej pozwalają ciągle wybuchające kłótnie na galeryi.

Od tej chwili program koncertu zupełnie się zmienia według następującego porządku.

Nr. 3. Kla-kla-kla-kla-kla — brawo! — Czaki — Czaki! (artystka wychodzi kilkakrotnie i dziękuje) kla-kla-kla-kla. Następuje pauza, w której p. Klamrzyńska śpiewa aryę z opery *Lakme*.

Nr. 4. Kla-kla-kla-kla-kla-oooo! — kla-kla-kla...

W przerwie p. Królikowski deklamuje *Dzwony* Ujejskiego.

Nr. 5. Kla-kla-kla-kla Królikowski! — brawo! — kla-kla-kla (artysta ukazuje się wielokrotnie na estradzie) kla-kla-kla. Przez kilka minut leje się burzliwy potok klaskań, który na krótko ucicha i ponawia się z tą samą siłą.

Po ustaniu ulewy Mierzwiński śpiewa romans z *Hugonotów* i „naddatki."

Dalszy ciąg koncertu przedstawiał rozmaitość tylko w przerwach. Między numerem poprzednim a następnym śpiewał

Mierzwiński, grała orkiestra lub deklamowała Modrzejewska. Siła wszakże chóru, rąk i jego trwałość zmieniały się często. Tak np. nr. 7 zajął blisko pół godziny i osiągnął największe fortissimo. Do najpiękniejszych jego ustępów należały kantaty ręczne na cześć „największego człowieka swojego wieku,“ zwłaszcza zaś: kla-kla-kla — Mierzwiński — Mierzwiński — brawo — kla-kla-kla- — bis-bis-bis kla-kla-kla — huuuu! kla-kla-kla — hoooo! — Mierzwiński — kla-kla-kla — bis-bis — haaa!

Gdyby nie antrakty, w których artyści rozrywali lub czarowali publiczność, ten koncert na dłoniach byłby zabójczo jednostajnym. Przez kilka godzin słuchać: kla-kla-kla-kla — Królikowski — Mierzwiński—Modrzejewska—brawo—bis—huuu!—hoooo! — to znuży nawet Samsona, a mnie zawsze odstrasza od teatrów i koncertów. Jeżeli wytrzymałem 8 numerów, to zawdzięczam jedynie długoletniemu przyzwyczajeniu. Kto ćwierć wieku po podniesieniu się kurtyny lub po wyjściu koncertantów na estradę oblewany bywa prysznicem: kla-kla-kla, ten ostatecznie przystosuje swoje nerwy. Niemiec uciekłby z sali — najdrażliwszy polak wytrwa przynajmniej do połowy koncertu lub widowiska.

Naturalnie $^9/_{10}$ oklasków zsypano Mierzwińskiemu. Porwał on publiczność naprzód wysokim *c*, które, rzucone na ulicę, ma wywoływać huk walącego się domu, czego nie zauważyłem, a powtóre — mniejszy zapał zbudziła Modrzejewska, bo nietylko nie ma *c*, ale wyjechała zaledwie do Krakowa. Wiadomo czytelnikom moim, że mam dziwny szacunek dla artystów polskich, którzy tak często odwiedzają Warszawę, jak akrobaci japońscy i którzy ze swego talentu przeznaczają nam najlepszą cząstkę: wiadomości o pobieranych za granicą pensyach i zbytkownej bieliźnie. Bo niech tam dyabli biorą polski dramat i polską operę, punkt ciężkości patryotyzmu spoczywa w tem, ażebyśmy od czasu do czasu z Wiednia lub Londynu otrzymali telegram: Mierzwiński w *Robercie dyable*... lub pani Helena w *Damie kameliowej*... (kłamać można, ile dusza zapragnie). A tymczasem niemiec, francuz i anglik myślą sobie: trzeba kiedy do tej Warszawy zajechać; toż oni mają świetną operę, świetny dramat, świetną komedyę. O, tak mamy: narodowe *c* w gardle p. Mierzwińskiego, narodowe *ut* (dokładnie nie wiem) w gardle p. Kochańskiej, narodowy liryzm w ustach p. Modrzejewskiej i t. d. Ten i ów podbiega ku niemu. Ale on ręki nie wyciąga do nikogo, nie odrywając jej od piersi, którą staranie ochrania (przed zaziębieniem *c*). Wita i żegna się uśmiechem. Ale jakim?! (ironicznym). Zajeżdża kareta. Otwarto mu jej drzwiczki, kroczy dumnie, jak książe, wsiada, znika, pojechał... Reporterzy pobiegli za karetą i całowali jej koła, jak żydzi, żegnający odjeżdżającego rabina.

Koncert przebrzmiał, jego kla-kla-kla i huuuu! ucichły, tylko spuchnięte od oklasków ręce pieką, posiniałe od wybijania hołdów czoła bolą, ale pozostało nam rozkoszne wspomnienie narodowego *c*, które dziś brzmi w Moskwie, za miesiąc w Wiedniu, za dwa w Paryżu, New-Yorku, Melbournie, a Warszawę odwiedza w przejeździe dla dania jej jałmużny.

Gdzież te czasy, kiedy Dobrski, Troszel, Rivoli bez *c* śpiewali dla swoich nie w *Ziarnie*, ale na scenie! Gdzie te czasy, kiedy... Eh, dajmy pokój tym pytaniom, bo jeszcze może trzebaby przypomnieć, jaką to pretensyę do Riegera mają nasi entuzyaści tworzący Mierzwińskiemu „szpaler.“

Modrzejewska przebywa w Ameryce, Deryng i Popiel opuściły scenę dla mężów, Leszczyński i Szymanowski tułają się po prowincyi, personal aktorski zubożał, a tu świeżo ogłoszony konkurs dramatyczny obiecuje wielkie plony. „Bo staną wszyscy — powiada jeden z członków komitetu, p. Bogusławski — o tem nie wątpię i to staną nie dla pieniężnych zysków, które zapewniając im publiczność, może być dumną z takiego swych ofiar przeznaczenia, ale dla tego, że *pisać* na taki konkurs (imienia Wojciecha Bogusławskiego) *jest zaszczytem*.“ Panno święta, jakże to mizerne robaki ci obecni autorowie dramatyczni, jeżeli zaszczytem jest dla nich stanąć do popisu przed sądem dziewięciu mężów komitetu, nad którymi unosi się duch Bogusławskiego Wojciecha a między którymi zasiada jego potomek Władysław! Po niewielkim namyśle przyzna szan. krytyk „sił i środków naszej sceny,“ że sam patronat jego przodka nie wystarcza do pospolitego ruszenia „wszystkich“ naszych pisarzy dramatycznych, i że wezwany pod jego imieniem trybunał winien budzić wszechstronną ufność. Tymczasem z komitetu wyłączono zupełnie żywioły postępowe, natomiast wprowadzono jednostki, przy których w tej roli trudno nie postawić znaku zapytania, wreszcie większość garnituru sędziów zasłużyła się dosyć w koteryjności, w szykanowaniu każdej pracy, która do ich futerału nie pasuje, w mierzeniu utworów łokietkiem własnego cechu, ażeby przedstawiali jakąkolwiek wątpliwość wyroku dla tych, którzy ich upodobaniom dogadzać nie chcą. Panowie ci zachowują się tak w estetyce, jak Noe w zoologii: przyznają wartość, pożyteczność i racyę bytu tylko tym istotom, które posiadają w swej arce. Czy p. Bogusławski zadawał sobie pytanie: czemu ostatnie konkursy dramatyczne ściągały coraz mniej i coraz słabszych zapaśników? Nie były ochrzczone imieniem Bogusławskiego? Wolne żarty. Straciły kredyt, bo osłabiły wiarę w swą znajomość rzeczy i bezstronność. Nie jest od tej przywary wolnym i najnowszy komitet. Podtrzymuje on monopol sądu w ciasnem kółku ze szkodą dla literatury, cierpiącej zawsze na gospodarstwie klik. Twórczość artystyczną należy pobudzać według innej metody, niż się rozdaje zyskowne probostwa. Przyjacielskie kółko może sobie sto razy zasiąść na krzesłach komitetowych i położyć najuroczyściej swe ręce na worku nie z 1,000, ale z 10,000 rs., nie każdy powołany będzie łakomym.

Zresztą życzę konkursowi powodzenia. Usiłowałem zawsze nie patrzeć na sprawy publiczne przez szparę uprzedzeń stronniczych i szczerze cieszyć się będę, jeżeli Bliziński, Zaleski, Lubowski, Asnyk lub ktoś inny osiągnie „zaszczyt“ nietylko pisania, ale i zwycięstwa. Przeszło rok czasu mają do pracy ci, którzy zechcą wydobyć ze swej piersi — *c* narodowe.

Długo, bardzo długo pocił się Kraków, zanim wypuścił swą *Wisłę*, francusko-polskie pismo zbiorowe dla powodzian. Tekst tego wydawnictwa, chociaż weń kilka złotych nici wpletli słynni pisarze zagraniczni, (Coppée, V. Hugo, A. Dumas itd.) przedstawia się słabo. Dość powiedzieć, że między artykułami poważną wiązkę stanowią listy różnych autorów, usprawiedliwiających się z niemożności przysłania czegokolwiek. Np. „Szanowny i kochany Panie. Pracę nad nową powieścią historyczną p. t. *Potop*, już rozpocząłem — i zrozumiesz Pan łatwo, że wobec nieodłącznej od potopu powodzi zajęć nie mogę przyłożyć ręki do żadnej innej pracy. Gdyby nie ten powód, poczytywałbym sobie za pierwszy obowiązek napisać cośkolwiek dla *Wisły* wydawanej w tak pięknym i szlachetnym celu. Życzę itd. H. Sienkiewicz.“ Takich „pereł,“ godnych druku, jest mnóstwo. Za to zewnętrzna strona i rysunki bardzo piękne, a co dziwna, nie ma w nich ani jednego widoku z powieści *Ogniem i mieczem*; tylko „Fragment z bitwy“ Krzosza wygląda nieco na ilustracyę do *Bartka zwycięzcy*. Ale nie — to musi być coś innnego. Oprócz ust i rysunków, w których pierwsze miejsce zajął Matejko a ostatnie p. Grocholski, dołączono podobiznę rękopisu Mickiewicza. Ponieważ zaś „autografem“ nazwano również *wydrukowany* wiersz Berlicza Sasa, widocznie zatem redakcya nie rozumie znaczenia tego wyrazu. „Autografem“ jest własnoręczne pismo, oryginalne lub wiernie odbite, nie zaś druk; ów więc tytuł w *Wiśle* odpowiada tylko kartce Mickiewicza, Daudeta, J. B. Zaleskiego, V. Hugo i Kraszewskiego. Francuszczyzny jest dosyć (Zola wystąpił wierszem), a między poetami tej narodowości znalazł się nawet jakiś p. Bartek, widocznie pochodzenia miejscowego. Ów p. Bartek wszakże śpiewa bardzo idealnie, nie tak, jak p. Lam, który swą brutalną polemikę z kimś przeniósł do wydawnictwa dobroczynnego. Oj, nieprawda to chyba, że on nie spożywa „koniaku w takich ilościach, jak mu imputuje pewien moralista.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Tygodniowa ofiara dla złodziejów. — Filozofia zająca i pociecha optymisty. — Karta Płocka i gra innych miast.—Rozumowanie Łomży i popęd do łączności.—Ruch przemysłowy śród ziemian.—Elegia gorzelnicza.—Co piją nad brzegami Uralu.—Mane, Tekel na ścianach klubu hrubieszowskiego.

Złodzieje i rabusie najrozmaitszych odmian zbogacili kronikę prowincyonalną ostatniego tygodnia bardzo hojnie. Stu Tacytów nie wystarczyłoby do spisywania historyi tych swobodnych mężów, więc tylko notuję ogólnie, że barometr atmosfery złodziejskiej utrzymuje się ciągle na swej zwykłej wysokości. Gdybyśmy — ja i wy czytelnicy — od wczoraj dopiero oglądali najlepszy ze światów, pewnie by nas to zdziwiło, że w Ożarowie śmiały rzezimieszek wyrwał żydówce kolczyki z kawałkami uszu „wobec licznego tłumu,“ że w Wilkołazie właściciel odkupił skradzioną mu krowę tylko za 20 rs., dzięki pośrednictwu faktora. Ale ponieważ żyjemy już dawno i widzieliśmy sprawki daleko efektowniejsze, przeto możemy sobie nie opowiadać takich zwykłych drobnostek i filozofować jak zając pod miedzą, który myśli: trudno, cóż pocznę, kiedy są psy, które mnie ścigają i prędzej czy później uduszą. A przytem dlaczegoż byśmy nie mieli pocieszać się, jak pewien optymista, który był stworzonym na prezesa komitetu zabaw:

— Wszystko to nieprzyjemne — mawiał on do skarżących się—ale zapominacie, że za to ani jeden okręt nie rozbija nam się na morzu i nie topi podróżnych. Czy nas to nie wynagradza—nie raduje?

Naturalnie, że filozofia ta, jak wogóle wszystkie wyższe ideje, nie przenika do ciemnego ludu, obcinającego ręce koniokradom, złapanym na gorącym uczynku, wymierzającego sobie doraźną sprawiedliwość w sposób, wobec którego szubienica jest bardzo przyjemną huśtawką. Już to chłop nasz, gdy płaci swoje krzywdy, to ze wszystkimi i wcale nieprawnymi procentami, Znowu na szosie mławsko-pułtuskiej znaleziono zwłoki „słynnego złodzieja.“ „Czaszkę miał w kilku miejscach strzaskaną, usta rozdarte, wszystkie zęby powybijane.“ Opinia miejscowa twierdzi, że go tak oporządzili towarzysze; ale wątpić należy, żeby kruk krukowi oczy wykłuwał i to jeszcze tak okrutnie. Musiał tam na szosie mławsko-pułtuskiej działać „księżycowy trybunał,“ który pominął wszystkie formy proceduralne, jak je pomija słoń, gdy rozgniata jaguara.

Trzeba przyznać, że Płock zadał innym miastom większym Królestwa kartę, któ-

rej żadne z nich nie zabije, lecz wszystkie odrzucą do koloru. Jak wiadomo, wystąpił on z zapytaniem: czy nie byłoby korzystniej zjednoczonemi siłami założyć zbiorowe Towarzystwo kredytowe miejskie (prowincyonalne), zamiast odrębnych. Już Kalisz nad tą sprawą rozmyślał, obecnie zajęła się nią Łomża. Ojcom tego grodu postawiono na naradzie w magistracie dwa pytania: 1) jakie mogą być prawdopodobne koszta administracyi Towarzystwa samodzielnego i 2) jaki kurs osiągnąć zdołają na giełdzie listy z poręczalnością miejscową? Odpowiedziano sobie po namyśle tak: 1) Koszta owe dosięgłyby 8,000 rs.; zważywszy zaś, że z pożyczek korzystać mogą właściciele nieruchomości w takim stosunku do zasad oszacowania, ażeby instytucya jak najmniej narażoną była na niewypłacalność; że wydatek ten obciążyłby ją nadmiernie, a usunie on się tylko przy dyrekcyi wspólnej dla kilku miast zjednoczonych. 2) Co do kursu listów, zauważono, że świat finansowy kieruje się zwykle jak najdalszem przewidywaniem. Bierze on w rachubę wszelkie możliwości, a zwłaszcza takie, jak ogień, wojna itd. Skutkiem tego kredyt każdego oddzielnego miasta będzie zagrożonym, a miasto odczuje na niskim kursie swych listów. Uchylenia podobnych obaw oczekiwać można raczej wtedy, gdy nie pojedyncze miasta i nie każde wyłącznie za siebie, lecz wszystkie razem i solidarnie poręczą wypłacalność ogólnego kredytu. Ażeby taką rękojmią stanąć wobec świata finansowego niezbędną jest łączność. Należy przeto rozwinąć starania o wspólną organizacyę, jedną dyrekcyę i jedno Towarzystwo dla wszystkich. Takie zapatrywania przedstawicieli miasta postawiono na naradzie jako zasadę, którą ma się kierować p. prezydent miasta Łomży w odpowiedzi na odezwę Płocka.

Wogóle, o ile z dotychczasowych narad wnosić można, przeważa popęd ku jednoczeniu się miast i ambicye samodzielności milkną. Polacy nie umieli nigdy gospodarzyć prywatnie i utrzymywali zawsze swoje rachunki w nieporządku; ale przyznać to sobie możemy, że umieliśmy stwarzać poważne instytucye kredytowe. Począwszy od hypoteki i Towarzystwa ziemskiego a skończywszy na różnych bankach i kasach, mamy szereg zakładów, w których ujawnia się nietylko zmysł praktyczny, ale nawet dziwny talent. Jest więc nadzieja, że i sprawa Towarzystwa dla miast rozstrzygnięta będzie należycie, a pewną pod tym względem wskazówkę widzimy w dążeniu do kojarzenia swych sił.

Notowaliśmy kilkakrotnie objawy ratowania się ziemian naszych od strat w rolnictwie—przemysłem. Co ruch ten przyniesie—z początków jego wnieść trudno, ale że istnieje, że wzrasta — to jest faktem. Wieści o nowych spółkach, fabrykach itd.—przylatują dość gęsto. Za Mławskiem podąża Lubelskie, które do istniejących obecnie pięciu cukrowni dołącza szóstą w Kośminku z kapitałem zakładowym 500,000 rs. Nikt nas chyba nie posądzi o ślepotę na ujemne strony przemysłu wielkiego, bo nikt nas nie widział w tańcu około złotego cielca kapitału; ale niezależnie od wywodów teoretycznych i rojeń względem przyszłości, nie przestaniemy wierzyć, że wszelki układ stosunków ekonomicznych, który zapobiega gwałtownym upadłościom i likwidacyom, który podpiera materyalną podstawę społeczeństwa, które je pośrednio ubezpiecza przeciw zagładzie cywilizacyjnej—jest pożądanym. Dlatego do aktywów wpisujemy przemysłowe postępy naszych ziemian, chociaż przy szczegółowych pozycyach tego rachunku wykazujemy często ich niesprawiedliwości.

Kulejące rolnictwo nie z tej jedynie podpierają strony. Kolej Nadwiślańska zamierzyła obrzucić swą linię siecią agentur handlowych. Według *Gazety lubelskiej*, będą to raczej kantory komisowe, dające rolnikom zaliczki na wysłane zboże a przy transportach za granicę ułatwiające przewóz i również zaliczające opłatę celną. Zdaniem wspomnianego pisma wszakże, są to usługi zbyt drobne — dla pustych kieszeni, które łakną dużych i prędkich zadatków.

Niema chyba u nas żywiołu społecznego, któryby miał tyle czułych strun, co ziemiański. Czego dotkniesz, wszystko tam odzywa się skargą. Naturalnie dziś utyskiwania te muszą brzmieć głośniej, niż kiedykolwiek, bo spadająca cena zboża nerwy uwrażliwia. Gdy obywatele zaczęli rozmyślać nad sposobami zamiany rolnictwa na przemysł, przypomniała im się stara i niegdyś liczne owoce rodząca jego gałąź—gorzelnia. W środku kraju można jeszcze na nią liczyć, ale po jego brzegach—nie, bo przemytnik, który zagranicą dostaje za 2 rs. wiadro okowity, podczas gdy u nas sama akcyza wynosi 8 rs. i który przez jedną noc zarabia po kilkanaście rubli, udaremnia wszelkie rachuby. Korespondent *Gazety polskiej* opowiada prawie ze łzami: „W nieprzerwanym niemal są ruchu uorganizowane bandy z kilkudziesięciu wozów, naładowywanych kufami i przeciągających w biały dzień traktem i szosą, pewne, że ich nikt nie zatrzyma, bo wszelkie przeszkody są wczas przewidziane i usunięte. Przeważnie żydzi, stojący na granicy, czy też dalej w umówionych miejscach, na przestrzeni, gdzie mają swoje stacye złodziejskie do przechowywania różnych przedmiotów kradzionych — „podwały“ — i gotowe kwitaryusze, uprawniają tak sprowadzany spirytus i w głąb państwa rozsyłają. W ten sposób miliardy wiader tego produktu przechodzą do nas, i można śmiało twierdzić, że państwo dziesiątej części (!) nie produkuje tej ilości spirytusu, jaka z zagranicy napływa. W każdym niemal domu po wsiach i miastach istnieją — niby to potajemne — szynki; na traktach publicznych bez najmniejszej przeszkody z jakiejbądź strony odbywa się wyszynk.“

Niewątpliwie autor, jak to się zwykle dzieje w elegiach, przesadził, twierdząc, że państwo nie produkuje *dziesiątej części* spirytusu przemycanego z zagranicy; ale to pewna, że kontrabanda odbywa się w wielkich rozmiarach, rujnuje gorzelników miejscowych a bogaci ich po drugiej stronie kordonu. „Widzimy tedy — powiada korespondent — za granicą ludzi, opływających w dostatki, mających pałace i zamożne gospodarstwa. Wykupują oni od nas inwentarze, wypasują je na wywarach i słodzinach z produktów, od nas także nabytych i zalewają nas zatrutym i choroby, a nawet śmierć siejącym spirytusem.“ Jeżeli więc chcemy być zdrowi i posiadać pałace, musimy pić gorzałkę miejscową i mieć ją tanią. W tym humorystycznym wniosku jest nieco słuszności, gdyż spirytus zagraniczny przychodzi do nas nieoczyszczony i działa szkodliwiej.

W ministeryum skarbu znowu podjęto kwestyę przemytnictwa, a nawet doradzano zniżyć akcyzę w pasie nadgranicznym; projekt ten wszakże upadł.

Nie łatwo to wreszcie walczyć z przebiegłą pomysłowością ludzką. Na dolnem porzeczu Uralu sprzedaż okowity jest surowo wzbronioną. „Otóż—jak donosi organ ministeryum finansów — tameczna ludność zwróciła się do wody kolońskiej, konsumując ją w niesłychanej ilości. Tak np. w maleńkiej mieścinie Gurjew wypijano rocznie przeszło 2000 tuzinów flaszek owego pachnidła. Objaw ten szczególniej w Uralu zasługuje na uwagę, bo ludność tameczna, znajdująca się w bardzo dobrym bycie i zamożna, pije *prawdziwą wodę kolońska*, która z powodu zawartych w niej eterycznych olejków i innych substancyj szkodliwie działa na zdrowie. W innych też miejscowościach, jak w północnym Kaukazie, w guberniach: ekaterynosławskiej i taurykiej, piją wiele wody kolońskiej, która wszakże jest po prostu żytniówką 40-stopniową, zmieszaną z różnemi pachnącemi esencyami Handel tą „krajową wodą kolońską“ coraz bardziej wzrasta i wywołał w tych stronach powstanie mnóstwa fabryk.“

Jak widzimy, u nas konkurencya łatwiejsza, bo wódka cudza śmierdzi, a w Uralu swoja pachnie.

Korespondent *Kuryera warsz.* z Hrubieszowa pisze: „Z przyczyny spodziewanego wyjazdu z Hrubieszowa głównego inicyatora założenia u nas klubu, zachodzi obawa, czy potrafimy nadal utrzymać swe ognisko towarzyskie.“ Więc gdy jedna osoba się usunie, cała instytucya musi runąć, pomimo że w Hrubieszowie „inteligencyi nie brak?“ Zaiste to zabawne.

A. C.

Lublin. W ciągu miesiąca (od 20 września do 20 października) dziennik tutejszy naliczył 24 pożary w gubernii; straty dosięgają 40,000 rs., a przyczyny w większej części wypadków niewyśledzone.

— Zjazd sędziów rozstrzygnął ostatecznie sprawę b. redaktora *Kuryera lubelskiego*, p. Głębockiego, który niekorzystnie odezwał się do dwu kobiet o prywatnym obrońcy Kozłowskim, za co został przez niego zelżony. Sędzia pokoju uniewinnił pozwanego, Zjazd skazał go na 2 miesiące aresztu.

— Ma tu powstać szkoła rzemieślnicza, w której oprócz zawodów, wykładane będą: język polski, rosyjski i niemiecki, oraz historya, matematyka i geografia.

Mińsk. gub. rozbrzmiewa coraz bardziej surowością wyroków, wydawanych przez sędziów przysięgłych, nawet wtedy, gdy istnieją okoliczności łagodzące.

Granica. Wybuchł tu pożar, który byłby zniszczył komorę celną, gdyby nie energiczny ratunek straży ze Szczakowy, Ząbkowic i Sosnowca.

Kotuń. Starły się dwa pociągi towarowe: trzy lokomotywy i kilkanaście wagonów rozbitych; jeden ze służby ranny a pilnujący w pociągu trzody zabity.

Szczebrzeszyn. Ma tu powstać pensya żeńska, której nie posiada cały powiat zamojski.

Iwangród. Most kolejowy na Wiśle ma być ukończony 1 grudnia, a pociągi osobowe puszczone będą w ruch od n. roku.

Grójec. We wsi Lesznowola spłonęło 55 różnych zabudowań i jeden człowiek. Straty wynoszą kilkadziesiąt tysięcy rubli, wielu włościan zupełnie zrujnowanych.

Biłgoraj. Banda rabusiów napadła na dwór majątku Tarnowola, który obrabowała z gotówki i kosztowności, zadawszy właścicielce kilka lekkich obrażeń. Tym razem złodziejów ujęto; są to mieszkańcy osady Józefowa.

Częstochowa. Egzekutor tutejszego magistratu, pobierający $12\frac{1}{2}$ rs. pensyi miesięcznie, przyciśnięty nędzą, postanowił odebrać życie sobie i swoim dzieciom. W tym celu poszedł z niemi do rzeki i jedno zaurzył pod wodę, trzymając je, póki nie zadusiło się; tymczasem drugi chłopczyk ułomny (któremu odebrał kulę) zdołał ukryć się w krzaki i przyczołgać do drogi, skąd go zabrał przejeżdżający włościanin. Nazajutrz znaleziono dzieciobójcę wiszącego na drzewie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 20 listopada.

Może stanowczo zażądać królestwa w nagrodę ten, kto wie, co się dzieje z Gordonem. Jednego dnia „chrześciański basza“ znajduje się w niewoli u powstańców, drugiego — gromi ich, to zabity, to pisze listy, że zdrów i zadowolony. A te sprzeczne

wiadomości nie przychodzą bynajmniej pocztą pantoflową, lecz płyną z najpoważniejszych, bo nawet urzędowych źródeł. Wybierać między niemi trudno, więc trzeba czekać, co nam przyjdzie tem łatwiej, że nie mamy powodu się niecierpliwić. Jest to rzecz Gladstone'a.

Ponieważ Izba gmin przyjęła ponownie bil wyborczy, więc lordowie, którzy poczuli pod nogami rozpaloną agitacyami blachę, zaczynają przygotowywać się do tańca według tej reformatorskiej muzyki, zwłaszcza, że im Gladstone mocno wytupuje jej takt. Naprzód pogroził, a teraz układa się. Ostatecznie szanowni lordowie, którzy dotąd na wspomnienie o bilu dostawali gęsiej skórki, przyjmą go z pewnemi zmianami, gdyż inaczej spokojnie spać by nie mogli.

Sejm niemiecki rozpoczął swoje obrady w nowym składzie. Burmistrz magdeburski oświadczył przy wyborach, że „ks. Bismark woli dziesięciu socyalno-demokratów, niż jednego postępowca;“ otóż ciekawi jesteśmy powitania się nowych przyjaciół. Zastęp Bebla i Liebknechta, znacznie pomnożony, a nadewszystko tryumfujący nadzwyczajnym wzrostem głosów swej partyi, czeka dumnie na powitanie ze strony potężnego kanclerza. Czy i jak on też ich pozdrowi? Wszystkie partye zadają sobie to pytanie, od którego po części zależy wewnętrzna polityka Niemiec.

Ks. Bismark niema w tej chwili czasu na okazywanie swej nowej barwy, gdyż jest zajęty konferencyą w sprawie Konga. Obrady jej trzymane są w najściślejszej tajemnicy, gazety niemieckie więc tyle tylko wiedzą, że prezydujący zebraniu kanclerz wypowiedział na pierwszej sesyi mowę, która odstąpiła od banalności zwykłych tego rodzaju aktów i zawierała treść ważną. Kiedyś dowiemy się może o niej, tymczasem kto zbyt ciekaw, niech się zadowoli opisem — sali w *Nordd. Allg. Zeitung*.

Zatarg francusko-chiński nie rozjaśnia się i odbija w Europie tyloma niemal sprzecznościami, co wyprawa Gordona. Już tam ktoś pośredniczy i układy zbliżają się do pożądanego celu, już znowu stosunki przybierają formę ostrzejszą i domagają się... kredytu. Kredyt wojenny obecnie ma dużo do roboty w Europie. Nic dziwnego— wszakże pokój zapewniony.

Poznań. Polacy stracą prawdopodobnie dwa mandaty poselskie: jeden ostatecznie we Wschowie (kand. S. Chłapowski), drugi przypuszczalnie w Prusach zachodnich. Nie dopisali „sprzymierzeńcy,“ katolicy niemieccy, których zawodną przyjaźń wielokrotnie przepowiadaliśmy i którzy woleli głosować za landratem, niż za współwyznawcą. Wyciągnęły się po tym wypadku twarze bezwzględnych wyznawców sojuszu z centrum. W Poznaniu, mimo niecnych wichrzeń dra Niegolewskiego i *Gońca*, przeszedł kandydat komitetu, ale zrodziła się obawa, że jeśli robota „warchołów“ nie ustanie, zdobędzie kiedyś Poznań niemiec.

Kraków. W procesie o rzucenie bomby pod gmach policyi skazano: Malankiewicza na 5 lat, Piechowskiego na 9, Sułczewskiego na 3 lata, Pająka na rok więzienia. Dąbrowskiego, Królikowskiego i Grudzińskiego uwolniono. Piechowski ukarany został najostrzej jako moralny sprawca przestępstwa.

Belgrad. W wyborach do rad gminnych zwyciężyła partya postępowa (rządowa).

GŁOSY PISM.

Jedynym oponentem na obradach delegacyj austro-węgierskich w Peszcie przeciwko nadmiernym wydatkom na cele wojskowe był poseł Hausner.

„Najj. Pan — mówił on — zapowiedział nam stanowczo i z największym naciskiem trwały pokój. Nadzieje pokojowe — słowa cesarza — jakie zeszłego roku się objawiły, spełniły się całkowicie i możemy mieć zupełną otuchę, iż epoka — nie chwila lub rok — ale epoka pokoju się rozpoczęła. Te słowa przez całą delegacyę bez wyjątku zostały przyjęte z uniesieniem. Mówię: bez wyjątku, bo jedynie zła wiara lub złośliwość twierdzić może, że istnieje grupa delegowanych która dla błogosławieństw pokoju niema należnego zrozumienia. Słowa cesarza potwierdził w zupełności p. min. spraw zewnętrznych.

Tymczasem nadchodzi budżet wojenny, a tu nagle spotykamy się z poglądami i wywodami, wręcz przeciwnymi. Tegoroczne sprawy wspólne mają, że tak powiem, głowę Janusa z dwiema twarzami—jednę uśmiechającą się pokojowo dla spraw zagranicznych, a drugą, posępną i groźną, dla wojska i marynarki. *Exposé* p. admirała, a więcej jeszcze pewne półurzędowe komentarze zapuszczają się w kombinacye tak złowrogie, jakoby nadszedł koniec zapowiedzianej epoki pokojowej.

A przecież dopiero w budżecie wojennym tkwi prawdziwa praktyczna wartość zwiastowań pokojowych. Praktyczna wartość takich widoków pokojowych jest dwojaka: po pierwsze powinny one, budząc uczucie bezpieczeństwa, zachęcać obywateli do swobodnego poświęcenia czasu, pracy i kapitałów w jakichkolwiek przedsiębiorstwach, po drugie, powinny dozwolić jeżeli już nie uszczuplenia zwykłych wydatków wojskowych, to przynajmniej usunięcia lub odroczenia przygotowań wojennych i przywrócić tym sposobem równowagę w budżecie.

Czy te następstwa są widoczne? Bynajmniej. Już w preliminarzu wojska lądowego ordynaryum tak wzrosło, że pochłonęło całkowicie zmniejszenie się ekstraordynaryum, z upragnieniem oczekiwane. Da to się jeszcze wytłomaczyć nieuniknionem następstwem reorganizacyi armii. Ale za to innego, wcale nieprzekonywającego rodzaju są żądania marynarki, która już na r. 1885 wynoszą 1,305,000 złr., a za 3 lata przynajmniej 7,770,000 złr. O tem, gdy horyzont polityczny był czysty, nic nam zeszłego roku nie mówiono — dziś, po niby-gwarancyi skierniewickiej i „przyjaznym stosunku z Włochami, który nie doznał przerwy ani zaćmienia,“ bezpośrednio po uspokajających zapewnieniach, żądają od nas łodzi torpedowych w takiej liczbie i z takim pośpiechem, jak gdyby już jutro przeważny nieprzyjaciel rzucić się miał na Polę lub Dalmacyę. Dziwne to zaiste, że *równocześnie wierzyć mamy w epokę pokojową i w konieczność takiej armady torpedowej!...*“

Gromi za to Hausnera *Neue freie Presse*, co jej jednak nie przeszkodzi nazwać nas za tydzień najwięcej rewolucyjnym żywiołem w Europie.

Warszawskij Dniewnik z powodu propozycyi kilku dzienników zwołania ankiety rolniczej przesyła pod adresem prasy polskiej następujące uwagi:

„Odwróćcie na chwilę oczy wasze od Zachodu i skierujcie je na Wschód z poważnym zamiarem widzenia rzeczy istniejących i realnych, a nie powtarzanych, dyabeł wie, z czyich słów, albo wyczytanych, dyabeł wie, w jakich książeczkach. Prosimy polskich publicystów uczynić to, będąc przekonani lub przynajmniej spodziewając się, że wskazany powyżej sposób działania (zwracanie oczu na Zachód) pochodzi nie ze złej woli, ale jak to nieraz mówiliśmy z rutyny, zupełnie niepojętej, zwłaszcza w naszych tak skłonnych do zmian czasach, albo z braku u polskich publicystów odwagi cywilnej, tego co francuzi nazywają *le courage de ses opinions*. Bo nie mogą przecie ci publicyści nie rozumieć, że z jednej strony dla „idei jagiellońskiej“ nietylko dziś, ale i oddawna już nastały czasy nieodpowiednie, a z drugiej, że żadnych zamachów na narodowość polską (w jej etnograficznych granicach), jak i na religię katolicką, nikt z nas nie czyni, że w Królestwie Polskiem narodowość ta o tyle jest bezpieczniejszą, niż w pruskiej Polsce, o ile pomyślność ekonomiczna tutejszego kraju wyższą jest od ekonomicznego poziomu Galicyi.

Na cóż więc te ciągłe płaczliwe skargi, ta postać „uciskanej niewinności,“ to mruganie lewem, na Zachód zwróconem, okiem? Przecie nie przygotowujecie nowego 1863 roku — czyż nie prawda? A jeżeli tak, to w jakim celu trzymacie miejscową ludność w świecie urojeń, idealizujecie w jej oczach stosunki niepodobne do urzeczywistnienia, od których odżegnywają się ci, którzy z nich korzystają? Oto chociażby np. ów głośny wiec rolniczy publicysty ze *Słowa*. Austryacki szablon odpowiada zupełnie temu projektowi, odpowiada mu i staropolski. Ale czy istnieje konieczność niepokojenia i zmuszania do wydatków tych 50-ciu kompetentnych ludzi, z których składać się ma wiec, a oprócz tego i tych 500 lub 5,000, którzy zapewne dokonać mają wyborów na „powiatowych sejmikach“ wspomnionych „posłów,“ czyli „sejmujących stanów,“ którzy utworzą rozgłośny „wiec?“ Dzieciństwo! Czyż nie sto razy prościej zbadać położenie rolnictwa w kraju za pomocą prasy, jak badano i badają dzisiaj położenie rolnictwa rosyjskiego?“

Journal de St. Petersb., o którego napomnieniach wzmiankujemy na innem miejscu, tak objaśnia sprawę skargi unitów:

„Niektóre organa stronnictwa klerykalnego, w tej liczbie *Germania* i *Journal de Rome*, rozpowszechniły wieści, jakoby w Watykanie przyjęta została przez Ojca świętego deputacya unitów z Podlasia, która doręczyła Jego Świątobliwości petycyę na Imię Najjaśniejszego Pana, podpisaną przez 9,500 osób. W dokumencie tym proszący zwracają miłościwą Jego Cesarsko-Królewskiej Mości uwagę na ucisk i niesprawiedliwość, wyrządzaną unitom przez urzędników rosyjskich. Też same dzienniki donoszą w dalszym ciągu, że papież nietylko przyjął prośbę, przyrzekłszy odesłać ją wedle przeznaczenia, a nawet oznajmił, że wstawi się gorąco za proszącymi.

Dawno już przywykliśmy do tego, że systematycznie Rosyi nieprzychylne dzienniki ultramontańskie korzystają z najdrobniejszej sposobności i napastują rząd nasz, rozpowiadając bez żadnego sprawdzenia baśnie, komunikowane im przez znane kółka krakowskie i inne polityczne, w celu podniecenia temi zmyśleniami opinii publicznej.

Że nienawistna względem Rosyi petycya mogła być zredagowana w Krakowie, a nawet w samym Rzymie, to nie dziwiłoby nas wcale. Gotowiśmy nawet przypuścić, że petycya rzeczona została pokryta pewną liczbą podpisów. Cyfra 9,500, o której mówią gazety, także nas nie dziwi, tembardziej, że pod tym rzekomym dokumentem znajdować się też musi sporo krzyżyków, mających zastępować nazwiska tych, którzy czytać i pisać nie umieją. Uwierzylibyśmy nawet może i temu, że była jakaś deputacya, choć pozostawiono nas w nieświadomości co do liczby deputatów. I w samej rzeczy niepodobna nie zauważyć, że dzienniki te, tak szczegółowo o wszystkiem powiadomione, przemilczają ostrożnie okoliczność, którą z taką łatwością możnaby sprawdzić. Dodać też należy, że bez wielkiej trudności można zawsze znaleźć jakieś kilka osób gotowych do wycieczki pod włoskie niebo, a w ostateczności możnaby i na miejscu w Rzymie znaleźć personel jakiś, mogący udawać deputacyę. Wszystko to, powtarzamy, nie dziwi nas i nie zwróciliby śmy uwagi bliższej na manewr, cel którego dla każdego był widoczny.

Ale wspomniane przez nas artykuły zdają się mieć bez porównania poważniejsze cele; to nie jest czcza gadanina gazet, czerpiących swe wiadomości z Krakowa i Poznania. One nietylko przytaczają tekst petycyi będącej zbiorem oszczerstw i złośliwych oskarżeń skierowanych przeciw rządowi rosyjskiemu, ale pozwalają sobie insynuować udział w tem wszystkiem Ojca świętego i przypisywać ma czyny i słowa takiej wagi, że do czasu postanowiliśmy surowo powstrzymać się od wszelkiej ich oceny.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Praw. Wiestnik ogłasza, że „Najjaśniejszy Pan raczył ministrowi spraw wewnętrznych nadać prawo zakazu mieszkania w Królestwie Polskiem pojedynczym osobom“

Uwolnieni od obowiązków: br. Korff, prezes warszawskiej Izby skarbowej i Moskwin, gubernator siedlecki.

Prywatne szkoły realne i gimnazya — według *Pet Wied.* — mają być zrównane w ulgach służby wojskowej z rządowemi, o ile trzymają się ściśle ich programów.

Komitet statystyczny nadwiślański dla Królestwa Polskiego — jak donosi *N. Wremia*— ma być wkrótce otworzonym w Warszawie.

Towarzystwo wioślarskie wybrało na prezesa p. Rawicza, na wiceprezesa p. N. Milicera.

Towarzystwo ogrodnicze, które na prezesa wybrało zasłużonego prof. Aleksandrowicza, zamierza urządzić wystawę we wrześniu r. p.

Mularze nasi urządzają w Warszawie wystawę szkiców, która będzie otwartą 1 grudnia.

Stowarzyszenie subjektów handlowych w. m. zdało sprawę ze swej działalności za r. 1883 i wydrukowało przytem „projekt kasy przezorności i pomocy.“ Instytucya ta rozwija się ciągle.

Zgromadzenie szewców postanowiło założyć własną szkołę rzemieślniczą niedzielną i zobowiązało się płacić 400 rs. rocznie na jej potrzeby.

Sądy. W warszawskim Sądzie okręgowym toczyła się ohydna sprawa. Włościanie gminy Ożarów: K. Michalski, jego (druga) żona Maryanna i jej matka Siemiętkowska oskarżeni zostali o zakopanie żywcem dziewczynki, córki Michalskiego z pierwszego małżeństwa. Wszystkich uznano winnymi i skazano: ojca na 12 lat ciężkich robót, macochę na 12 lat do pracy w fabrykach, a jej matkę na lat 8.

Kwarantanna z powodu cholery w Paryżu (dość słabej) stosowaną jest znowu ściślej na komorach Królestwa. Osoby, przybywające z zagranicy, winny udowodnić, że przez trzy tygodnie nie były w miejscach zarażonych.

Ofiara. Od 18 b. m. w zakładach towarzystwa B. Handke wydawane są rzemieślnikom i robotnikom fabrycznym, znajdującym się bez zajęcia, bezpłatne obiady. Szlachetnie.

Zapis. Obywatelka Zofia z Koziebrodzkich Chełmicka legowała testamentem swoim następujące sumy: 1) rs. 80,000 na stypendya im. Leona i Aleksandry Koziebrodzkich dla dzieci służby wiejskiej wyznania rz. kat. 2) rs. 15,000 na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.

„Dziennik powieści,“ o którego powstaniu w Krakowie donosiliśmy niedawno, zaniknął po półtoratygodniowem istnieniu. W akcie ostatniej woli wyraża redakcya nadzieję, że pozostawi w pamięci prenumeratorów życzliwe wspomnienie.

Akademicy rusini w Krakowie, których jest na wszechnicy jagiellońskiej kilkudziesięciu, zawiązali osobne towarzystwo. Na zgromadzenie, uchwalające statut, przybyli rektor uniwersytetu i delegat czytelni polskiej aby odwieść rusinów od zakładania odrębnego stowarzyszenia. Przyrzekano im za to rozmaite wygody i ustępstwa w Czytelni (nawet prezesem co drugi rok miał być rusin)—Ruś jednak oświadczyła, że zrzeka się wszelkich dostatków, byle mieć „własnu chatu.“

Prasa. *Wiadomości farmaceutyczne* mają od n. roku wychodzić częściej (2 lub 3 razy), niż raz na miesiąc. Redakcyę objął p. K. Wenda.

— Towarzystwo *Szomer Israel* (Straż Izraela) we Lwowie zaczęło wydawać obok dawniejszego w języku niemieckim pisma *Der Israelit* także *Izraelitę* po polsku. *Szomer Israel*, założony przed kilkunastu laty na wzór zagranicznych *Alliances Israelites*, zajmował przez długi czas stanowisko nietylko odporne, ale i wrogie społeczeństwu polskiemu. Oprócz *Izraelity* wychodzi we Lwowie drugi organ polsko-żydowski, *Ojczyzna*, które wydaje towarzystwo *Agudas Achim* (Przymierze braci), mające na celu uobywatelenie żydów w duchu polskim.

Bibliografia polska. *Pamiętnik fizyograficzny*, tom IV, Warszawa.

— F. Schiller *Dzieła* w przekładzie polskim. Zeszyt 19 i 20. Lwów, H. Altenberg.

— Dr. H. Biegeleisen *Pan Tadeusz* Mickiewicza, studyum estetyczno-literackie, Warszawa.

— *Praktyczna metoda języka francuskiego*, wyd. drugie, Warszawa, Centnerszwer.

— S. Godlewski *Notatki z kongresu międzynarodowego opieki nad dziećmi* (w Paryżu 1883), odbitka z Rocznika Tow. Osad rolnych, Warszawa.

— T. H. Huxley *Wstęp do nauk przyrodniczych*, tłom. B. Z. Warszawa.

— W. Spasowicz *Dzieje literatury polskiej*, wydanie drugie, *poprawione* (istotnie), tłom. A. G. Bem. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Próba z balonem Krebsa i Renarda w Paryżu powiodła się znowu świetnie. Kierowano nim swobodnie.

Wypadki na kolei zdarzyły się wielokrotnie w ostatnim tygodniu. W Hanau (Niemcy) rozbił się pociąg, przyczem zginęło 15 osób, a rannych 40. Na rzece Bracos (w Ameryce) runął most; trzy wagony spadły do wody, 20 osób zabitych, 15 rannych.

Koszta wojny. Pięć ostatnich wielkich wojen kosztowało 475,000 zabitych na polu bitwy lub zmarłych z ran i prawie 21,000,000,000 fr. wydatków. Podczas wojny austryacko-włoskiej (1859) zmarło 45 000 ludzi, wydano 1,500,000,000 fr., podczas duńskiej (1864) zmarło 35,000 ludzi, wydano 170,000,000 fr., podczas francusko-niemieckiej (1870) zmarło 250,000 ludzi, wydano 2,500,000,000 fr., nareszcie w czasie wojny rosyjsko-tureckiej (1877) zmarło 100,000 ludzi i wydano 5 miliardów fr.

Zmarli: A. Regulski, jeden z najlepszych drzeworytników warszawskich, a w portretach najcelniejszy.

— Dr. H. Giwartowski, profesor uniwersytetu w Moskwie.

— Henryk Fawcett, angielski ociemniały minister komunikacyj. Był on znakomitym uczonym i zajmował kiedyś katedrę ekonomii politycznej w Cambridge. Dzieło jego, tej nauce poświęcone, mamy w przekładzie polskim (1874).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. St. Pr. w Kijowie. Adresu nie znamy, ale zapamiętamy doniesienie pańskie, gdyby do nas ktoś się zgłosił.

Saturninowi. Max Nordau.

P. Ober. w Rydze. Dużego formatu nie znamy. Największy w *Ognisku*.

P. Jerzemu B. Artykuł pański nie ma żadnej wartości literackiej. Jest to garść komunałów. Co do studyów nad językiem polskim, przeczytaj Pan naprzód gramatykę (np. Małeckiego), a potem wzorowe dzieła naszej literatury.

P. Gerar. w M. Rymy bardzo zwyczajne, lub ułomne (ubogą—głęboką), metryka nieprawidłowa.

W. G. stud. O. Turczynowicz *Obozrienie istorii Biełorusi* Peterb. 1857. *Słownik* Nosowicza Pet. 1870, M. Korniłowicz *Istor. świed. o primieczat. piesniach w Biełorusi* Pet. 1855. A Rypiński *Białoruś* (o poezyi) Paryż 1840. W. D. Marcinkiewicz (powieści białoruskie). R. Zienkiewicz (Pieśni).

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. R. E. rs. 4.
Na wpis dla uczniów. Od rodzeństwa E. rs. 7 k. 16.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Katalog księgarni Polaka.

Do ludzi zamożnych i mających współczucie dla istotnej niedoli zwraca się młody człowiek z prośbą o pożyczenie mu rs. 200, która to suma najzupełniej rozstrzyga o jego losie, a której zwrot może być zapewniony przez dostateczną gwarancyę.

Wiadomość w redakcyi pod literami W. S.

Po uzupełnieniu i dobraniu zeszytów posiadamy jeszcze do sprzedania kilkanaście egzemplarzy dzieła Brandesa (bez wyczerpanego tomu II) po cenie: Tom I rs 1 k. 50, Tom III rs. 1 k. 50, Tom IV rs. 2. Nadmieniamy, że każdy tom stanowi odrębną całość.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Ноября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.